

ALEKSANDRA
MARININA
ukradziony
sen**Aleksandra Marinina** (1957)

urodziła się we Lwowie w rodzinie prawników. Mieszkała w Leningradzie, potem przenieśli się do Moskwy; tam ukończyła szkołę muzyczną oraz wydział prawa. Po studiach rozpoczęła pracę w milicji, gdzie zajmowała się edukacją i badaniami w dziedzinie kryminologii. W roku 1992 ukazało się *Stieczyne obywateli* (Zbieg okoliczności), pierwsza z cyklu powieści o major Anastazji Kamieńskiej. W 1998 roku Aleksandra Marinina odeszła z milicji w randze podpułkownika i poświęciła się całkowicie karierze pisarskiej. Do dziś dwadzieścia pięć jej powieści – przetłumaczonych m.in. na język włoski, francuski, niemiecki, szwedzki, a także chiński, japoński i koreański – osiągnęło łączny nakład trzydziestu milionów egzemplarzy. Cykl o major Kamieńskiej doczekał się także ekranizacji przez rosyjską telewizję NTW.

ALEKSANDRA

MARININA

**ukradziony
sen**



w serii ukazały się:

Jean-Claude Izzo *Total Cheops*

Marek Krajewski *Koniec świata w Breslau*

Marek Krajewski *Widma w mieście Breslau*

Henning Mankell *Fałszywy trop*

Henning Mankell *Morderca bez twarzy*

Henning Mankell *Piąta kobieta*

Henning Mankell *Biała lwica*

Aleksandra Marinina *Ukradziony sen*

Aleksandra Marinina *Męskie gry*

Aleksandra Marinina *Śmierć i trochę miłości*

Aleksandra Marinina *Gra na cudzym boisku*

Joanna Szymczyk *Ewa i złoty kot*

ALEKSANDRA

MARININA

ukradziony
sen

przełożyła EWA ROJEWSKA-OLEJARCZUK

Patronat medialny:



Tytuł oryginału: *Украденный сон*

Copyright © A. Marinina, 1995

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2004

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2004

Wydanie I

Warszawa 2005

ROZDZIAŁ I

- Stop, stop, przerwijcie! Jak na razie wszystko źle.
- Asystent reżysera Griniewicz z irytacją klasnął w dłonie i odwrócił się do siedzącej obok młodej kobiety. - Widziałas?
- spytał żałośnie. - Te lalunie nie potrafią zrobić najprostszych rzeczy. Chwilami jestem w rozpaczy, wydaje mi się, że z tego spektaklu nic nie będzie. Nie obchodzi ich kreowana postać, każdej zależy tylko na tym, żeby wszyscy dostrzegli jej zalety. Larysa!

Wysoka, zgrabna dziewczyna w ciemnym trykocie podszła na skraj sceny i usiadła z gracją, zwieszając jedną nogę, a drugą podciągając do piersi.

- Laryso, kim jesteś? - pouczająco zaczął Griniewicz.
- Grasz zwykłego kundla, owoc zakazanej miłości foksterierki i maltańczyka. Masz być figlarna, przyjazna, pieśczośliwa, ruchliwa. Ale przede wszystkim - masz być malutka. Malutka, rozumiesz? Drobnny krok, żadnych zamaszystych gestów. A ty kogo mi grasz? Rosyjskiego charta? Jasne, jasne, w ten sposób masz okazję zademonstrować swoją wspaniałą figurę. Ale to, moja droga, nie są wybory miss, twoja figura nie ma tu nic do rzeczy. Chcę widzieć małego kundelka, a nie twój rajcowny biust. Jasne?

Larysa słuchała nachmurzona, lekko kołysząc zgrabną nóżką.

- To co, mam sobie amputować piersi, żeby zagrać tego psa? - rzuciła ostro.

- Pozwolisz, że ci powiem, co masz zrobić? - ugodowo odparł Griniewicz. - Przestań się sobą zachwycać: oto cały sekret. No, do roboty. Ira!

Larysa podniosła się leniwie i odeszła w głąb sceny. Wszystko, co w tej chwili myślała o asystencie reżysera Giennadiju Griniewiczzu, było płonącymi zgłoskami wypisane na jej pięknych plecach, a znaki przestankowe w tej nie-pochlebnej tyradzie zostały wypunktowane wyzywającymi ruchami krągłych bioder i toczonych nóg. Całą sobą zdawała się mówić, że niektórym, nie będziemy pokazywać palcem, komu konkretnie, łatwo jest radzić, by człowiek się sobą nie zachwycał, ponieważ sami są niewiele ładniejsi od małpy.

Kolejna ofiara krytyki Griniewicza zeskoczyła ze sceny i oparła się o nią plecami.

- Co, Giena, ja też gram źle? - spytała zmartwiona.

- Irocza, kochanie, w życiu jesteś bardzo dobrą dziewczyną. To twoja niewątpliwa zaleta, za to cię kochamy. Ale grasz strasznie wredną sukę dobermana. I kiedy swymi psimi metodami rozprawiasz się z innymi postaciami sztuki, czujesz się niezręcznie. Ciągłe jesteś Iroczką Fiedułową i wstyd ci za siebie - psa, który zachowuje się ordynarnie i podle. Żal ci wszystkich, których dobermanka krzywdzi, i to jest wyraźnie widoczne. Ukryj swój charakter, dobrze? Wychodząc na scenę, zapomnij, jaka jesteś w życiu, zapomnij, czego cię uczyli tata i mama. W tym psim towarzystwie jesteś wytrawnym złoczyńcą, jesteś najsilniejsza, umacniasz i utrwalasz swój autorytet i swoją władzę. Jesteś najgorszą żołą i nie waz się tego wstydzić. Nie próbuj przedstawić swojej bohaterki lepszą, niż stworzył ją autor. Rozumiemy się?

Ira w milczeniu weszła na scenę, a Griniewicz znów zwrócił się do swej towarzyszki.

- Jak myślisz, Anastazjo, może niepotrzebnie się tego podjąłem? Już w szkole teatralnej marzyłem, żeby zrobić spektakl z życia psów. Ten pomysł śnił mi się po nocach, miałem kręcka na tym punkcie. Wreszcie znalazłem autora,

namówiłem go, żeby napisał sztukę, potem błagałem niemal na klęczkach, żeby ją przerabiał, dopóki nie stanie się taka, jak chciałem. Potem przekonywałem reżysera, żeby się zgodził ją wystawić. Zmarnowałem tyle lat, poświęciłem tyle sił. A teraz się okazuje, że młodzi aktorzy nie potrafią zagrać jak należy.

- Czy rzeczywiście nie potrafią? - z powątpiewaniem spytała Anastazja, która uważnie obserwowała aktorów od samego początku próby. - Rozumiem, co cię niepokoi, ale tego nie można się nauczyć, to trzeba poczuć na własnej skórze. Tu nie pomoże ani reżyser, ani pedagog. Trzeba ich nauczyć przestać lubić siebie, swój wygląd zewnętrzny, swoją indywidualność, ale nie zapominaj, Gienoczka, że to jest wbrew naturze. Gdybyś zadał sobie trochę trudu i przeczytał parę książek na temat psychiatrii i psychoanalizy, wiedziałbyś, że całkowite odrzucenie własnych zalet i własnej wartości to oznaka chorej psychiki. Normalny, zdrowy człowiek powinien lubić i szanować samego siebie. Oczywiście nie aż do egocentryzmu, ale w rozsądnych granicach. Ty byś chciał, żeby poza sceną aktorzy byli osobowościami, ze wszystkimi zaletami i kompleksami, a po wyjściu z za kulis natychmiast tracili kregosłup i zamieniali się w glinę, z której ty ulepisz to, co chcesz. Bo przecież o to ci chodzi? Radzę ci, żebyś zaprosił do zespołu psychologa.

- Cóż... Chyba tak... chyba masz rację - niepewnie wymamrotał Griniewicz, który, słuchając Nasti, nie przestawał obserwować aktorów na scenie. - Chociaż jestem przekonany, że z punktu widzenia sztuki aktorskiej jest to słuszne. Wiktor! Siergadiejew! Chodź no tu!

Olbrzymi muskularny młodzian, grający czarnego labradora retrievera, zszedł do pierwszego rzędu, ciężko klapnął na fotel i zaczął wycierać ręcznikiem twarz i szyję.

- Co, Giena? - zapytał zdyszczanym głosem. - Znowu coś nie tak?

- Znowu. Nie rozumiem, dlaczego nie wychodzi ci scena z kulawym pudłem. Coś ci w niej przeszkadza?

Wiktor wzruszył lśniąco od potu, szerokimi ramionami.

- Nie wiem. Pojęcia nie mam. Ja jestem młody i głupi, a pudel - stary i kulawy. Nie zdaję sobie sprawy, że jestem młodszy i silniejszy, i ganiam go po całej scenie, jakby był równorzędnym partnerem. A on jest dumny i nie chce pokazać, że zabawa ze mną jest ponad jego siły. Dopiero kiedy pada zmęczony, ja powinienem się domyślić i zawstydzić. Zgadza się?

- Zgadza. Więc co ci przeszkadza? Nie wiesz, jak pokazać, że ci wstyd?

- Nie o to chodzi. Po prostu nie jest mi wstyd. Zrozum, Szurik tak lekko biega po scenie, że kiedy pada jak trup, jakoś wcale mi go nie żal.

Grający kulawego starego pudła Szurik rzeczywiście był mistrzem sportu w lekkiej atletyce, biegał bez wysiłku i ładnie, a kiedy padał i zamierał bez ruchu, wyglądało to na udawanie i żart.

Griniewicz popatrzył na Anastazję oczami pełnymi rozpaczy.

- Masz ci los! Znowu to samo.

Nastia nie była aktorką i rodzaj jej pracy nie miał z teatrem nic wspólnego. Z Gieną Griniewiczem mieszkała kiedyś w jednym domu, na tej samej klatce schodowej, i odkąd zaczęła pracować w teatrze, regularnie, trzy, cztery razy do roku przychodziła do niego na próby. Przychodziła w jednym jedynym celu: żeby patrzeć i uczyć się, jak za pomocą drobnych niuansów plastycznych i mimicznych tworzy się całkowicie różne obrazy. Griniewicz nie miał nic przeciwko tym wizytom, odwrotnie, był bardzo zadowolony, kiedy dawna koleżanka odwiedzała go w teatrze. Malutki, łysawy, o twarzy brzydkiego, ale radosnego trolla, Griniewicz przez wiele lat kochał się skrycie w Nastii Kamieńskiej i był strasznie dumny, że nikt, w tym sama Nastia, nigdy się tego nie domyślił.

- Mam tu same Madonny i Van Dammów - ciągnął z irytacją. - Bardziej cenią w sobie urodę i sprawność niż aktor-

stwo i teatr. No bo jakże to: tyle lat ciężkiej pracy, treningów, potu, wyrzeczeń, diety... szkoda by było, gdyby nikt tego nie dostrzegł i nie docenił. Pół godziny przerwy!
– krzyknął głośno.

Griniewicz i Nastia poszli do bufetu i wzięli po filiżance niesmacznej, ledwie ciepłej kawy.

– Co u ciebie, Nastiusza? Jak w domu, jak w pracy?

– Stara bida. Mama w Szwecji, tata wyklada, na emeryturę na razie się nie wybiera. Jedni ludzie zabijają drugich i jakoś nie chcą, by ich za to ukarano. Nic nowego w moim życiu się nie dzieje.

Griniewicz lekko pogładził Nastię po ręce.

– Zmęczona?

– Bardzo. – Kiwnęła głową, nie podnosząc oczu znad filiżanki.

– Może masz już dosyć swojej pracy?

– Coś ty! – Nastia gwałtownie podniosła oczy i z wyrzutem popatrzyła na przyjaciela. – Co ty wygadujesz! Moja praca jest straszliwie męcząca, pełno w niej brudu, w przenośni i dosłownie, ale ją kocham. Wiesz przecież, Giena, że umiem różne rzeczy, mogłabym na przykład tłumaczeniami zarabiać o wiele więcej, nie mówiąc już o korepetycjach. Ale nie chcę się zajmować niczym innym prócz mojej pracy.

– Za mąż nie wyszłaś?

– Dyżurne pytanie! – roześmiała się Nastia. – Zadajesz mi je za każdym razem, kiedy się spotykamy.

– A odpowiedź?

– Też dyżurna. Powiedziałam ci przecież, że nic nowego w moim życiu się nie dzieje.

– Ale masz kogoś?

– Oczywiście. Ciągłe ten sam Losza Czistiakow. Też dyżurny.

Griniewicz odstawił filiżankę i uważnie przyjrzał się Nasti.

– Słuchaj, nie wydaje ci się, że po prostu jesteś znudzona swoim monotonnym życiem? Bardzo mi się dzisiaj nie podo-

basz. Po raz pierwszy widzę cię taką, a przecież znam cię od... żeby nie skłamać...

- Od dwudziestu czterech lat - odpowiedziała Nastia.
- Kiedy wprowadziliście się do naszego domu, miałam dziewięć lat, a ty czternaście. Właśnie zamierzałeś wstąpić do Komsomolu, ale w związku z przeprowadzką musiałeś się przenieść do innej szkoły, a tam powiedzieli, że jesteś dla nich nowym człowiekiem i nie mogą ci dać rekomendacji. No i wszystkich przyjęto w ósmej klasie, a ciebie w dziewiątej. Strasznie to przeżywałeś!

- Skąd wiesz? - zdumiał się Giennadij. - Przecież się wtedy nie kolegowaliśmy, byłaś dla mnie za smarkata. Pamiętam dokładnie, żeśmy się zaprzyjaźnili, kiedy nasi rodzice kupili nam jednakowe szczeniaki, z jednego miotu. A wcześniej chyba nawet nie byłem w waszym mieszkaniu.

- Za to twoi starzy u nas bywali. I ciągle o tobie opowiadali. I o Komsomole, i o dziewczynie z dziesiątej klasy, i o klasówce z fizyki.

- O jakiej klasówce? - ze zdumieniem zapytał reżyser.

- Której nie chciałeś pisać. Wzięłeś gorący prysznic, umyłeś głowę i wyszedłeś w samej piżamie i boso na zaśnieżony balkon, a to był luty. I tam cię nakryli rodzice.

- I co było dalej?

- Nic. Masz żelazne zdrowie, więc musiałeś tę klasówkę napisać.

- Coś takiego! - Griniewicz roześmiał się serdecznie.
- Zupełnie tego nie pamiętam. Czy ty przypadkiem nie kłamiesz?

- Nie kłamię. Wiesz przecież, że mam dobrą pamięć. A co do tego, że nudzi mnie monotonne życie, nie masz racji. Nigdy się nie nudzę. Zawsze mam o czym pomyśleć, nawet w monotonnym życiu.

- Tak czy owak, jesteś jakaś skwaszona, Nastiu. Ktoś cię skrzywdził?

- To minie. - Nastia uśmiechnęła się smutno. - Zmęczenie, burze magnetyczne, obieg planet... Wszystko minie.

*

Czyż może być coś głupszego niż urlop w listopadzie? W śnieżnych zimowych miesiącach można jeździć na nartach, w marcu i kwietniu ożywcze słońce kurortów Kaukaskich Mineralnych Wód napelni nowymi siłami osłabłe od zimowej awitaminozy ciała, o urlopie od maja do sierpnia nawet nie ma co gadać, wrzesień i październik to cudowny sezon nad ciepłymi południowymi morzami, ale co robić w listopadzie? Listopad to miesiąc najsmutniejszy, kiedy złoty urok jesieni już zniknął i nieuchronne nadejście długich, ciemnych, zimnych dni staje się oczywiste aż do bólu. Listopad to miesiąc najbardziej beznadziejny, jako że deszcz i błoto, które w marcu i kwietniu są zwiastunami ciepła i nadziei, w tym przedzimowym okresie przynoszą tylko smutek i przygnębienie. Nie, nikt rozsądny nie bierze urlopu w listopadzie.

Starszy oficer operacyjny wydziału kryminalnego moskiewskiego GUWD*, major milicji Anastazja Pawłowna Kamińska, lat trzydzieści trzy, wykształcenie wyższe prawnicze, była osobą bardzo, ale to bardzo rozsądną. Mimo to jednak znalazła się na urlopie właśnie w listopadzie.

Oczywiście, ten jesienny urlop planowała zupełnie inaczej. Nastia po raz pierwszy w życiu pojechała do sanatorium, i to do sanatorium bardzo drogiego, ze wspaniałą obsługą i personelem medycznym. Ale po dwóch tygodniach wyjechała, bo w sanatorium popełniono morderstwo, w związku z czym została wciągnięta w skomplikowane i kłopotliwe kontakty najpierw z miejscowym wydziałem kryminalnym, a potem z lokalną mafią. Kiedy zaś rozwiązanie owej na pierwszy rzut oka banalnej sprawy ujawniło cały łańcuch potwornych zbrodni, Nastia pośpiesznie opuściła gościnne sanatorium, nie czekając na aresztowanie głównych sprawców, których, jak się okazało, dobrze знаła. Rezultat

* GUWD (Gławnoje Uprawlenije Wnutriennich Diet) – Główny Urząd Spraw Wewnętrznych, mieszczący się w Moskwie przy ulicy Pietrowka 38 (przyp. tłum.).

– listopad, urlop, popsuty nastrój, obrzydliwe samopoczucie, jednym słowem całe trzydzieści dni przyjemności.

Po wyjściu z teatru Nastia bez pośpiechu ruszyła prospektem w stronę metra, usiłując przed wejściem do wagonu podjąć decyzję, dokąd jechać: do siebie do domu czy do ojczyma. Decyzję zdążyła podjąć, ale bardzo szczegółową: pojechała do pracy. Po co – sama nie wiedziała.

Szef Nastii, Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew, o dziwo, był na miejscu, toteż jej nedorzeczne życzenie miało szansę się spełnić. Gdyby Gordiejewa nie było w gabinecie – kto wie, jak by się wszystko skończyło. Ale Wiktor Aleksiejewicz siedział za biurkiem i w skupieniu żuł zausznik okularów, co oznaczało głębokie zamyślenie.

– Panie pułkowniku, niech mnie pan odwoła z urlopu – poprosiła Nastia Kamieńska, nie wdając się w długie wstępy. Widziała się już z szefem po powrocie z sanatorium, więc był doskonale poinformowany o jej pechowej epopei z wypoczynkiem i kuracją. Poza tym Gordiejew lubił Nastię, cenił ją i rozumiał jak chyba nikt inny.

– Co, Stasienko, masz chandrę? – zapytał ze współczuciem.

Nastia w milczeniu przytaknęła.

– Dobra, możesz uważać, że od dziś jesteś w pracy. Idź do Miszy Docenki i weź od niego akta zabójstwa Jeriominej. I przypomnij mi, żebym napisał kartkę do kadr w sprawie twojego urlopu. Tylko nie zapomnij, żeby ci te dni nie przepadły. Wszystko się może zdarzyć.

Nastia wzięła od Docenki akta, zamknęła się w swoim gabinecie i zaczęła czytać. Śledztwo wszczęto w związku ze znalezieniem trupa młodej kobiety. Przy zwłokach nie było żadnych dokumentów i w ogóle nic, co pozwoliłoby ją zidentyfikować. Śmierć nastąpiła w wyniku uduszenia mniej więcej na cztery–pięć dni przed badaniem przez milicyjnego patologa. W celu ustalenia tożsamości denatki sprawdzono wszystkie zgłoszenia o zaginięciu młodych kobiet, które wyszły z domu i z nieznanych przyczyn nie powróciły.

Spośród tych zgłoszeń wybrano te, w których podano, że zaginiona była brunetką o długich włosach i wzroście 168–173 cm. Takich zgłoszeń wyodrębniono czternaście, zgłaszających zaproszono, by zidentyfikowali zwłoki, i dziewiąty z kolei stwierdził, że zmarła to Wiktoria Jeriomina, lat dwadzieścia sześć, że była sekretarką w jego firmie. Zgłoszenie o zaginięciu złożył także on, ponieważ Wika była sierotą, wychowaną domu dziecka, i nie miała ani męża, ani żadnych krewnych. W tej sytuacji śledztwo wszczęto na oficjalny wniosek z miejsca pracy.

Dalej z materiałów śledczych wynikało, że Wiktoria Jeriomina w poniedziałek 25 października nie przyszła do pracy. Nikt by się tym jednak na serio nie zaniepokoił: wszyscy wiedzieli, że Wika mocno popija i często idzie w tango, po czym zdarza się jej nie przyjść do pracy. Kiedy następnego dnia również nie pojawiła się w firmie, postanowiono zadzwonić do niej do domu, spytać, czy się coś nie stało. Telefonu nikt nie odbierał, z czego koledzy wywnioskowali, że Wika wpadła w długi ciąg alkoholowy. W środę 27 października do firmy zadzwonił kochanek Jeriominej Borys Kartaszow, pytając, gdzie jest Wika. Obdzwoniwszy koleżanki Wiki i zajrzawszy do jej mieszkania (Kartaszow miał klucze), pracownicy firmy zrozumieli, że coś jest nie w porządku. Kartaszow pognął na milicję, ale tam uzyskał rutynową odpowiedź, że nie ma powodów do paniki i trzeba poczekać jeszcze ze trzy dni: dziewczyna jest młoda, pijąca, nieobarczona rodziną – na pewno sama się zjawi. Na wszelki wypadek uprzedzono Kartaszowa, że zgłoszenia o zaginięciu i tak by od niego nie przyjęto, musi wpłynąć wniosek z miejsca pracy.

Taki wniosek wpłynął 1 listopada, Wikę Jeriominę znaleziono zamordowaną w lesie, 75 kilometrów od Moskwy w kierunku na Sawiełowo. Według milicyjnego patologa zgon nastąpił najwcześniej 30 października. Innymi słowy, podczas gdy Borys Kartaszow miotał się w poszukiwaniu ukochanej, w pracy wzruszano ramionami, a milicja

usiłowała odkopnąć jak najdalej zgłoszenie o zaginięciu, Wiktorija jeszcze żyła, i gdyby w porę zaczęto jej szukać, może zdążono by ją znaleźć, zanim została zamordowana.

Sporej części materiałów Nastia nie otrzymała; wszystkie dokumenty, sporządzone po rozpoczęciu śledztwa, znajdowały się u śledczego stołecznej prokuratury, Konstantina Michajłowicza Olszańskiego. Nastia miała u siebie tylko kopie materiałów dotyczących poszukiwań, które obejmowały okres od momentu zgłoszenia zaginięcia do chwili znalezienia zwłok. Nie było tego wiele, ale i tak skromną informację należało starannie przeanalizować. W głowie Nasti rodziły się wciąż nowe pytania.

Dlaczego solidna firma, która część pensji wypłaca swoim pracownikom w dolarach i cieszy się niezłą reputacją w kręgach biznesowych, zatrudnia niezdyscyplinowaną i pijącą sekretarkę? Czy nie jest możliwe, że wzmiankowana sekretarka szantażuje kierownictwo firmy, zapewniając sobie w ten sposób mało absorbującą pracę i stały dochód w dewizach? I czy nie to stało się przyczyną jej śmierci?

Dlaczego kochanek ofiary rzucił się jej szukać dopiero 27 października, w środę, chociaż sądząc z informacji otrzymanych od znajomych Wiki, nikt jej nie widział i nie słyszał już od soboty 23 października? W piątek, 22, Jeriomina była w pracy, co potwierdzają wszyscy pracownicy firmy, o 17.00 oficjalnie zakończono dzień roboczy i wszyscy zebrali się w niewielkiej sali bankietowej, by uczcić zawarcie korzystnego kontraktu z zagranicznymi partnerami. Po „bankiecie” Wika pojechała do domu, odwoził ją swoim samochodem jeden z kontrahentów firmy. Najwyraźniej dowiózł ją szczęśliwie, ponieważ około jedenastej wieczorem tego dnia Wika rozmawiała telefonicznie z koleżanką, umówiła się z nią na niedzielę i nie miała żadnych planów związanych z ewentualnym wyjazdem z Moskwy. Czy podczas tej rozmowy była w mieszkaniu sama? Biznesmen, który odwoził ją do domu, twierdzi, że próbował się wprosić na kawę, ale dziewczyna wykręciła się zmęczeniem i obiecała, że będzie mógł ją

odwiedzić innym razem. Odprowadził więc damę do windy, pocałował w rączkę i odjechał. Kłamie czy nie? Jak to sprawdzić?

Po jedenastej wieczorem w piątek kontakty z nią się urywają. Wiktorija Jeriomina nie dzwoni do nikogo ze znajomych, nie pojawia się w miejscach, gdzie ktoś mógłby ją rozpoznać, i nie odbiera telefonów. A jeśli jednak była w domu, tylko nie podchodziła do telefonu, to dlaczego? I gdzie się podziewała cały tydzień od 23 do 30 października? Czy wpadła w tak głęboki pijacki ciąg, że do nikogo nie dzwoniła, ani do firmy, ani do kochanka?

Kiedy Nastia wynurzyła się z rozmyślań i studiowania akt, była prawie ósma wieczór. Zadzwoiła z telefonu wewnętrznego do Gordiejewa.

- Wiktorze Aleksiejewiczu, kto prowadzi sprawę Jeriominej?

- Ty.

Odpowiedź była tak zaskakująca, że Nastia o mało nie upuściła słuchawki. Przez wszystkie lata pracy w wydziale Gordiejewa zajmowała się prawie wyłącznie pracą analityczną, ale za to w sprawach, które prowadzili wywiadowcy Gordiejewa. To oni biegali, zdzierali zelówki i dorabiali się odcisków w poszukiwaniu świadków i dowodów, to oni przeprowadzali skomplikowane operacje, przenikali do grup przestępczych, uczestniczyli w zatrzymaniach niebezpiecznych bandytów. Następnie całą zdobytą przy takich okazjach informację skrzętnie jak mrówki znosili do gabinetu Kamieńskiej i z westchnieniem ulgi zrzucali już na progu: Nastia sama się połapie, jaki fakt położyć na jaką półkę i jaką etykietkę do niego przykleić, sama oceni wagę każdego okrucza informacji, jej rzetelność i wiarygodność, zorientuje się, czy dana informacja jest przydatna w którejś z prowadzonych spraw, czy można ją odłożyć „do rezerwy”, a jeżeli jest przydatna, to czy można na niej polegać i jak ją zweryfikować. Nastazja włączy swój komputer, zasilany nie prądem z sieci, ale kawą i papierosami, i jutro, a najdalej pojutrze powie,

jakie hipotezy warto rozpracować, kogo należy przesłuchać, co jeszcze w trakcie takiej rozmowy sprawdzić itd. Co miesiąc Nastia studiowała wszystkie sprawy dotyczące zabójstw, ciężkich uszkodzeń ciała oraz gwałtów i sporządzała dla Gordiejewa zestawienie analityczne. Dzięki tym wyciągom Wiktor Aleksiejewicz widział nie tylko typowe błędy i potknięcia popełnione przy wykrywaniu ciężkich przestępstw, ale także nowe, oryginalne metody gromadzenia poszlak i demaskowania winnych oraz, co najważniejsze, wszystkie nowinki dotyczące samych zbrodni: organizację, sposoby i nawet motywy.

Zadaniem Anastazji Kamieńskiej była żmudna praca analityczna, toteż pytając szefa, kto prowadzi sprawę zabójstwa Wiktorii Jeriominej, spodziewała się usłyszeć kilka nazwisk swoich kolegów, z którymi skontaktowałaby się telefonicznie jeszcze tego wieczoru. Spodziewała się wszystkiego, tylko nie owego „ty”.

- Mogę do pana przyjść? - spytała.

- Zadzwoń do ciebie - krótko odparł Gordiejew, z czego Nastia wywnioskowała, że nie jest w gabinecie sam.

Kiedy się wreszcie doczekała zaproszenia i weszła do pokoju szefa, ten stał odwrócony do okna i w zadumie stukał w szybę monetą.

- Mamy kłopot, Stasieńko - powiedział, nie odwracając się. - Któryś z naszych chłopców jest nieuczciwy. A może nawet kilku. A może i wszyscy. Oprócz ciebie.

- Skąd pan wie?

- Nie słyszałem tego pytania.

- A ja go nie zadałam. Chodzi mi tylko o to, dlaczego oprócz mnie? Skąd takie zaufanie?

- To nie zaufanie, tylko zwykła kalkulacja. Ty nie masz możliwości być nieuczciwa, bo nie pracujesz bezpośrednio z ludźmi. Mogłabyś się okazać nierzetelna, ale to nie uratowałoby człowieka, który dałby ci łapówkę. Powiedzmy, że czegoś niby nie wykryjesz, nie zauważysz czegoś ważnego, istotnego dla śledztwa. Ale gdzie gwarancja, że oficer

operacyjny, który sprawę prowadzi, też tego nie wykryje i nie dostrzeże? Nie, dziecko, zagrożenie stanowi to, co robisz. A twoja bezczynność, nawet umyślna, nie ma żadnego znaczenia. Dla łapownika jesteś nikim.

- Cóż, piękne dzięki – uśmiechnęła się krzywo Nastia.
- Z tego wnioszek, że pan mi ufa z wyrachowania, a nie z sympatii. Dobre i to.

Gordiejew odwrócił się gwałtownie i Nastia zobaczyła na jego twarzy taki ból, że poczuła się niezręcznie.

- Tak, ufam ci z wyrachowania, a nie z sympatii – powiedział ostro. - I dopóki nie uporamy się z tym problemem, muszę zapomnieć, jacy wy wszyscy jesteście świetni i jak bardzo was lubię. Nie mogę znieść myśli, że któreś z was jest dwulicowe, bo wszyscy jesteście mi drodzy i bliscy, bo wszystkich osobiście przyjmowałem do pracy, uczyłem, wychowywałem. Wszyscy jesteście moimi dziećmi. Ale muszę to wymazać z serca i kierować się tylko rozsądkiem, żeby miłość albo sympatia nie przesłoniły mi obrazu i nie zamydliły oczu. Kiedy to nieszczęście minie – miłość powróci. Ale nie wcześniej. A teraz do rzeczy.

Wiktor Aleksiejewicz powoli odszedł od okna i usiadł przy biurku. Był niewysoki, szeroki w ramionach, z wydatnym brzuszkiem, okrągłutki, prawie zupełnie łysy. Podwładni nazywali go pieścizotliwie Pączek; przezwisko to zrosło się mocno z Gordiejewem jakieś trzydzieści lat temu i było starannie przekazywane z pokolenia na pokolenie przez jego kolegów, a potem nawet przez kryminalistów. Nastia patrzyła nań i myślała, że teraz jego wygląd zupełnie nie odpowiada pieścizotliwemu przezwisku, teraz Gordiejew wydawał się przytłoczony ołowianym brzemieniem bólu.

- W związku z tym, co ci powiedziałem, nie mogę powiedzieć sprawy zabójstwa Jeriominej nikomu poza tobą. Dlatego jestem zadowolony, że przerywasz urlop. Sprawa jest ohydna, śmierdzi na kilometr. Firma, dolary, bankiet, zagraniczni kontrahenci, atrakcyjna sekretarka, którą znaleziono uduszoną ze śladami tortur, jakiś kochanek ze środowiska cyganerii

- wszystko to bardzo mi się nie podoba. Dopóki się nie dowiem, kto z naszych bierze forszę od przestępców za niewykrycie morderstw, sprawę Jeriominej będziesz prowadzić ty. Jeżeli jej nie rozwiążesz, to w każdym razie będę miał pewność, że zrobisz wszystko, co możliwe. Jutro rano jedź do prokuratury do Olszańskiego, przejrzyj akta sprawy i bierz się do roboty.

- Pułkowniku, sama nie dam sobie rady. Pan chyba żartuje! Kto to widział, żeby zabójstwem zajmował się tylko jeden detektyw?

- A kto powiedział, że będziesz sama? Jest obwodowy wydział kryminalny MSW, jest komisariat w dzielnicy Jeriominej, gdzie zresztą zgłoszono zaginięcie. Są pracownicy naszego wydziału, którym możesz dawać polecenia przeze mnie, nie odkrywając kart. Rusz głową, zakrzętnij się. Pod sufitem masz dobrze poukładane i najwyższy czas, żebyś nabrała doświadczenia.

*

Tego dnia, 11 listopada, Nastia Kamińska, wyszedłszy z pracy po dziewiątej wieczorem, postanowiła zanoć w mieszkaniu rodziców, które znajdowało się o wiele bliżej Pietrowki 38 niż jej własne. Miała też nadzieję na smaczną gorącą kolację, ponieważ jej ojczym Leonid Pietrowicz, którego za plecami nazywała po prostu Lonią, był w przeciwieństwie do niej samej człowiekiem pracowitym i gospodarnym, toteż przeciągająca się delegacja zagraniczna żony, profesor Kamińskiej, wcale się nie odbiła ani na porządku w mieszkaniu, ani na codziennym menu, złożonym z pożywnych i umiejętnie przygotowanych potraw.

Poza kolacją Nastia miała na uwadze jeszcze jeden cel. Postanowiła wreszcie przeprowadzić z ojczymem, którego od zawsze nazywała tatą i szczerze kochała, trudną i bardzo delikatną rozmowę. Rozpoczęcie jej okazało się jednak równie trudne jak podjęcie samej decyzji. Nastia odwlekała ten moment, powoli jedząc pieczeń, potem starannie parzyła

herbatę, długo i metodycznie zmywała naczynia, szorując zapieczone garnki i patelnie. Ale Leonid Pietrowicz zbyt dobrze znał pasierbicę, by się nie zorientować, że trzeba jej przyjść z pomocą.

- Co cię gryzie, dziecko? Kawa na ławę.

- Tatku, nie wydaje ci się, że nasza mama ma kogoś w tej Szwecji? - wypaliła Nastia, nie patrząc na ojczyma.

- Wydaje mi się. Ale wydaje mi się też, że, po pierwsze, nie powinno cię to obchodzić, a po drugie, że to żadna tragedia.

- Jak to?

- Posłuchaj. Twoja mama wcześniej wyszła za mąż, jeżeli pamiętasz, za swego kolegę z klasy. Miała zaledwie osiemnaście lat. Pobrali się, bo ty byłeś już w drodze. To małżeństwo od samego początku nie miało szans. Mama rozwiodła się z twoim ojcem, kiedy nie miałś nawet dwóch lat. Dwudziestoletnia studentka z małym dzieckiem! Pieluchy, choroby wieku dziecięcego, studia, i to z bardzo dobrymi ocenami, asystentura, doktorat, własny kierunek w nauce, publikacje, konferencje, delegacje, habilitacja, monografie... Czy to nie za wiele dla jednej kobiety? Na moją pomoc nie bardzo mogła liczyć, pracowałem w wydziale kryminalnym, wychodziłem wcześniej, wracałem późno, a ona musiała ciebie i mnie karmić i obsługiwać. Nawet kiedy podrośłaś na tyle, żeby pomagać w pracach domowych, mama nie kazała ci chodzić do sklepu, obierać kartofli i odkurzać, bo widziała, z jaką przyjemnością czytasz, uczysz się matematyki i języków, i uważała, że dla dziecka o wiele ważniejsza jest możliwość trenowania umysłu niż umiejętność prowadzenia domu. Zastanawiałaś się kiedy nad tym, jakie życie miała twoja matka? Teraz, choć skończyła pięćdziesiąt jeden lat, wciąż jest piękna, chociaż jeden Bóg wie, jak przy takim życiu udało się jej nie zestarzeć. Kiedy zaproponowano jej pracę w Szwecji, wreszcie miała okazję pożyć spokojnie i, powiedzmy, pięknie. Tak, tak, pięknie, nie rób takich min, nic naganego w tym nie ma. Wiem, że było ci przykro, kiedy mama

zgodziła się przedłużyć kontrakt i została za granicą jeszcze na rok. Myślisz, że już nas nie kocha, że za nami nie tęskni, i czujesz się pokrzywdzona. Nastieńko, dziecino moja kochana, ona jest nami po prostu zmęczona. Ma nas troszkę dosyć. Oczywiście, odnosi się to w większym stopniu do mnie. Ale tak czy owak, niech od nas odpocznie. Zasłużyła sobie na to. I nawet jeżeli ma romans – niech tam. Na to też sobie zasłużyła. Ze mnie przecież żaden adorator. Twoja mama już od dwudziestu lat nie dostała ode mnie ani kwiatów, ani prezentu-niespodzianki, nie mogłem jej zaproponować wyjazdu w jakieś interesujące miejsca, bo nasz wolny czas prawie nigdy nie wypadal jednocześnie. I jeżeli teraz tam, w Szwecji, twoja mama wszystko to ma – cieszę się. To się jej należy.

- I co, wcale nie jesteś zazdrosny?

- Dlaczego, jestem, oczywiście. Ale w granicach rozsądku. Widzisz, jesteśmy z mamą bardzo zżyci. Tak, nie ma w naszych stosunkach romantyzmu, ale przeżyliśmy razem dwadzieścia siedem lat, więc sama rozumiesz... Jesteśmy przyjaciółmi, a to w naszym wieku o wiele ważniejsze. Boisz się, że nasza rodzina się rozpadnie?

- Tak.

- No cóż... Albo mama zdobędzie to, czego jej tak brakuje, i wróci do domu, albo rozwiedzie się ze mną i wyjdzie za mąż w Szwecji. Co to zmieni dla ciebie osobiście? Że mamy nie będzie w Moskwie? Ależ i teraz jej tu nie ma i nie wiadomo, kiedy zechce wrócić. A poza tym przyznaj z ręką na sercu: czy naprawdę obecność mamy jest ci tak bardzo potrzebna? Wybacz, dziecino, znam cię od tak dawna, że mam prawo powiedzieć. Wcale tak strasznie ci nie zależy, żeby mama mieszkała w Moskwie, po prostu czujesz się dotknięta, że potrafi żyć z dala od ciebie. A co się tyczy ciebie i mnie, to przecież nie przestaniesz mnie odwiedzać tylko dlatego, że nie jestem już mężem twojej mamy, prawda?

- Oczywiście, tatusiu. Jesteś dla mnie jak rodzony ojciec. Bardzo, bardzo cię kocham – ze smutkiem powiedziała Nastia.

- Ja też cię kocham, dziecino. A mamy nie potępiaj. Ani mnie, skoro już o tym mowa.

- Wiem. - Nastia kiwnęła głową. - Poznasz mnie z nią?

- A chciałabyś? - zaśmiał się Leonid Pietrowicz.

- No pewnie!

- Dobrze, jeżeli chcesz, to was ze sobą poznam. Tylko daj słowo, że nie będziesz się martwić.

*

Nastia udało się usnąć dopiero nad ranem. Ciągle próbowała uporać się z tym, co usłyszała od swego szefa. Milicja skorumpowana przez mafię to nic nowego. Dopóki coś takiego przydarza się innym, w innych placówkach, w innym mieście, można to traktować jak fakt obiektywny, z którym należy się liczyć i który trzeba brać pod uwagę przy analizie informacji i podejmowaniu decyzji. Kiedy jednak dzieje się to tuż obok ciebie, w twoim wydziale, dotyczy twoich przyjaciół, nie jest to już problem czysto analityczny, ale moralno-psychologiczny, niedający się jednoznacznie rozwiązać. Co teraz zrobić? Jak się zachowywać wobec kolegów? Kogo podejrzewać? Wszystkich? I tych, których nie bardzo lubisz, i tych, których darzysz sympatią, i tych, do których jesteś szczerze przywiązana? I jeżeli zauważysz w zachowaniu kogoś z pracowników wydziału coś podejrzanego, to co masz z tym zrobić? Lecieć do Pączka i donieść? Czy zachować rzecz w tajemnicy, w myślach zaciskając powieki i wmawiając sobie, że nic nie widziałaś? A może odciąć się od tego wszystkiego, powiedzieć sobie, że przyjaciół się nie zdradza, nawet jeśli postępują źle, i niech się z nimi rozprawiają wrogowie? Ale wobec tego kto jest wrogiem? Komisja weryfikacji kadr? Czy jednak ten, kto łamiąc prawo, wysługuje się przestępcami? Boże, ileż pytań! I ani jednej odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 2

W gabinecie śledczego stołecznej prokuratury Konstantina Michajłowicza Olszańskiego Nastia znalazła się po raz pierwszy. Znali się od dawna, ale widywali się tylko na Pietrowce, gdzie Olszański bywał częstym gościem. Był mądrym człowiekiem i doświadczonym śledczym, profesjonalnym, rzetelnym i odważnym, jednak Nastia jakoś nie mogła go polubić. Wielokrotnie próbowała przeanalizować swe uczucia, ale nie udało się jej zgłębić przyczyn tej niechęci. Co więcej, wiedziała, że wiele osób odnosi się do niego równie nieżyczliwie, chociaż cenią jego profesjonalizm i wysokie kwalifikacje.

Z wyglądu Konstantin Michajłowicz robił wrażenie fajtlapy i nieudacznika: niepewne spojrzenie, wymięta marynarka, na krawacie zawsze jakaś plama niewiadomego pochodzenia, buty przeważnie niewyczyszczone, okulary w koszmarnych, niemodnych oprawkach. Prócz tego Olszański odznaczał się niezwykle żywą mimiką i tym, że nie zawsze kontroluje wyraz twarzy, zwłaszcza kiedy coś pisze. Postronny obserwator z trudem powstrzymywał się od śmiechu, widząc te nieprawdopodobne grymasy i wysunięty koniuszek języka. Na domiar wszystkiego śledczy potrafił być ostry i nieuprzejmy, co prawda, niezbyt często i, co dziwne, na ogół w rozmowach z technikami. Miał bzika na punkcie kryminalistyki, czytał wszystkie nowości z tej dziedziny, nawet rozprawy naukowe i materiały z różnych specjalistycznych konferencji, a w czasie oględzin miejsca przestępstwa stał nad technikami jak kat nad dobrą duszą, stawiając im jakieś niewyobrażalne wymagania i zadając zupełnie nieoczekiwane pytania.

Gabinet Olszańskiego stanowił wierne odbicie właściciela: na polerowanym blacie stolika krążki po gorących szklankach, na biurku okropny bałagan, plastikowy abażur stojącej lampy pod wiekową warstwą kurzu z zielonego stał się

mętnie szary. Jednym słowem, gabinet nie przypadł Nasti do gustu.

Śledczy przywitał ją życzliwie, ale natychmiast zapytał o Łarcewa. Władimir Łarcew i Michaił Docenko przez pierwsze dziewięć dni, od 3 do 11 listopada, wykonywali jego polecenia w sprawie zabójstwa Wiktorii Jeriominej i Konstantin Michajłowicz spodziewał się zobaczyć któregoś z nich. W wydziale Gordiejewa wiadano, że Olszański szczególnie ceni Łarcewa za umiejętność prowadzenia przesłuchań, że często powierza mu przesłuchania świadków i podejrzanych i zawsze podkreśla, że Wołodia osiąga w tej pracy lepsze wyniki niż on sam.

- Łarcew jest na razie zajęty - wymijająco odparła Nastia.
- Dostał inne zadanie. Sprawę Jeriominej przejęłam ja.

Trzeba oddać Olszańskiemu sprawiedliwość, że jeśli nawet był rozczarowany, nie okazał tego. Wyjął z sejfu akta i posadził Nastię przy stoliku.

- Czytaj sobie cichutko. Muszę dokończyć akt oskarżenia. Za czterdzieści minut mam tu konfrontację, więc będę musiał cię wyprosić. Postaraj się zdążyć.

Okazało się, że dokumentów nie jest zbyt wiele. Wnioski biegłego patologa: przyczyna śmierci - uduszenie w wyniku zadziergnięcia, najprawdopodobniej ręcznikiem (włókienka tkaniny znaleziono na ostrych krawędziach kołczyka w kształcie kwiatka o pięciu płatkach). Na ciele denatki stwierdzono liczne podbiegnięcia krwawe w okolicach pleców i klatki piersiowej, powstałe od uderzeń grubym sznurem albo rzemieniem. Czas powstania sińców - od dwóch dni (najwcześniej) do dwóch godzin (najpóźniej) przed śmiercią.

Z protokołu przesłuchania szefa Jeriominej, generalnego dyrektora firmy, wynikało, że Wika sporo piła, ale do pracy przychodziła regularnie. Oczywiście, czasem zachowywała się dziwnie, jak każda pijąca kobieta. Potrafiła na przykład wyjechać na kilka dni ze świeżo poznanym mężczyzną. Ale Jeriomina w takich wypadkach nigdy nie zapomniała

zwolnić się u szefa, przy czym bez żenady, otwarcie mówiła, po co jej tych parę wolnych dni. W ostatnich czasach bardzo się zmieniła, stała się skryta, nieprzewidywalna, często odpowiadała bez sensu, długo siedziała zapatrzona w jeden punkt, niekiedy nawet nie słysząc, że się do niej mówi. Wyglądała na poważnie chorą.

Protokół przesłuchania Borysa Kartaszowa, kochanka Jeriominej: Jestem całkowicie przekonany, że Wiktorija była chora. Jakiś miesiąc temu dostała obsesji, że ktoś oddziałuje na nią przez radio i kradnie jej sny. Namawiałem ją, żeby poszła do psychiatry, ale kategorycznie odmówiła. Wówczas sam się zwróciłem do znajomego lekarza i ten wyraził przekonanie, że Wika ma ostrą psychozę i że należy ją niezwłocznie hospitalizować. Ale Wika mnie nie posłuchała. Czasami zachowywała się okropnie lekkomyślnie, nawiązywała jakieś przypadkowe znajomości, zadawała się z podejrzanymi typami, zwłaszcza w okresach pijackich ciągów. Zdarzało się nawet, że znikła na kilka dni z kolejnym kochankiem. Wyjechałem z Moskwy w delegację 18 października, wróciłem 26 i zacząłem szukać Wiki, bojąc się, że w tym chorobliwym stanie mogło się jej przydarzyć nieszczęście. Nic mi nie wiadomo o tym, że zamierzała dokądś wyjechać. Żadnych wiadomości od niej nie otrzymałem.

Protokół przesłuchania Olgi Kołobowej, przyjaciółki Jeriominej: Znam Wikę całe życie, wychowywałyśmy się razem w domu dziecka. Naturalnie, Borysa Kartaszowa też znam. Jakiś miesiąc temu Borys powiedział mi, że Wika jest chora, że ma obsesję, że ktoś za pomocą radia kradnie jej sny. Borys prosił, żebym porozmawiała z Wiką i namówiła ją na pójście do lekarza. Wika kategorycznie odmówiła, powiedziała, że czuje się całkowicie zdrowa. Kiedy ją spytałam, czy to prawda, co mówiła Borysowi, że ktoś kradnie jej sny, potwierdziła, że to prawda. Ostatni raz rozmawiałam z Wiką wieczorem 22 października, koło jedenastej, dzwoniłam do niej do domu. Umówiliśmy się na niedzielę. Więcej Jeriominej nie widziałam i nie rozmawiałam z nią.

Protokół z przesłuchania doktora nauk medycznych Maslennikowa, psychiatry, z którym konsultował się Kartaszow: Jakies dwa, trzy tygodnie temu, w połowie października, zwrócił się do mnie Borys Kartaszow w sprawie swojej znajomej, u której zaobserwował pewną obsesję. Na podstawie podanych objawów stwierdziłem, że młoda kobieta znajduje się o włos od poważnej choroby i że konieczna jest natychmiastowa hospitalizacja. Opisana jednostka chorobowa nosi nazwę zespołu Kandinskiego-Clerambaulta. Chorzy w stanie ostrej psychozy mogą być bardzo niebezpieczni, ponieważ słyszą „głosy” i te „głosy” mogą im kazać zrobić wszystko, z zabiciem przypadkowego przechodnia włącznie. Równie dobrze tacy chorzy łatwo mogą paść ofiarą przestępstwa, ponieważ nie potrafią ocenić sytuacji, zwłaszcza jeżeli w takiej chwili „głos” im coś „doradzi”.

Poinformowałem Kartaszowa, że jego znajomej nie można umieścić w szpitalu bez jej zgody dopóty, dopóki zaburzenia psychiki nie doprowadzą do wyraźnych zaburzeń zachowania i dziewczyna nie trafi na milicję. Kartaszow powiedział mi, że ona nie zgadza się nawet na zwykłą wizytę u specjalisty i uważa się za zupełnie zdrową. Niestety, w takich wypadkach nic się nie da zrobić, przymusowa hospitalizacja możliwa jest, jak już mówiłem, tylko wtedy, gdy chory swoim zachowaniem zwróci na siebie uwagę milicji.

Jeszcze kilka protokołów z zeznaniami pracowników firmy, zatrudniającej Jeriomina, oraz znajomych zamordowanej i jej przyjaciela Kartaszowa. Nic nowego w tych protokołach Nastia nie zauważyła. Znalazła natomiast kartkę ze spisem miejsc i adresów, gdzie Wiktoria miała zwyczaj popijać. Do kartki podpięto sześć notatek stwierdzających, że w wymienionych miejscach w okresie od 23 października do 1 listopada nikt Jeriominej nie widział. Dwa adresy pozostały niesprawdzone.

Nastia zamknęła teczkę i popatrzyła na Olszańskiego. Śledczy szybko pisał coś na maszynie, odwrócony do Nasti plecami i zgarbiony na niewygodnym krześle.

- Konstantynie Michajłowiczu! - odezwała się.

Odwrócił się gwałtownie, zawadzając łokciem o wysoką stertę papierów na biurku. Dokumenty rozleciały się na wszystkie strony, niektóre spadły na podłogę. Olszański jednak zupełnie się tym nie przejął.

- Tak? - powiedział spokojnie, jakby się nic nie stało, zdjął okulary i zaczął z całej siły trzeć palcami powieki.

- Mam trzy pytania. Jedno dotyczące sprawy i dwa prywatne.

- Zacznij od prywatnych - dobrodusznie zaproponował śledczy, po ptasiemu przechylając głowę na bok i ściskając palcami nasadę nosa. Jak wszyscy krótkowidze, bez okularów wyglądał na zagubionego i bezradnego. Coś się nieuchwytnie zmieniło i Nastia nagle spostrzegła, że Olszański ma niezwykle piękną twarz i ogromne oczy o długich, dziewczęcych rzęsach. Grube szkła okularów sprawiały, że oczy wydawały się malutkie, a wielokrotnie reperowane oprawki ze śladami sklejanego szpecyły śledczego, zmieniając go nie do poznania.

- Wystarcza panu pańska pensja?

- Zależy na co - Olszański wzruszył ramionami. - Na to, żeby nie zdechnąć pod płótem, całkowicie, nawet z naddatkiem. Ale na to, żeby się dobrze czuć, nie wystarcza.

- Co dla pana znaczy „dobrze się czuć”? - drażyła Nastia.

- Dla mnie osobiście? Wiesz co, Kamińska, nie bądź bezczelna! Ja ci zacznę odpowiadać, a ty mi wleziesz z kłopotami w duszę. Będę musiał gadać o swoich gustach, zamiłowaniach, hobby, o kłopotach rodzinnych i jeszcze Bóg wie o czym. Z jakiej racji? Myślisz, że kto ty dla mnie jesteś - brat, swat, najlepszy przyjaciel? Dawaj drugie pytanie.

Śledczy zachowywał się zdecydowanie po chamsku, ale przy tym uśmiechał się wesoło, błyskając oślepiającymi zębami, i zupełnie nie było wiadomo, czy jest zły, czy żartuje.

- Jest pan niezadowolony, że zamiast Łarcewa sprawę Jeriominej prowadzę ja?

Uśmiech Olszańskiego stał się jeszcze szerszy, ale odpowiedź padła po dłuższej chwili.

- Lubię pracować z Wołodią, jest świetnym specjalistą, mistrzem w swoim fachu. I w ogóle mam dla niego mnóstwo sympatii. Zawsze się cieszę, i jako śledczy, i jako człowiek, kiedy mam okazję z nim obcować. A co się tyczy ciebie, Anastazjo, to nigdy dotąd z tobą nie współpracowałem i prawie cię nie znam. Gordiejew bardzo cię chwali, ale dla mnie to są puste słowa. Zwykłem sam wyrabiać sobie zdanie o człowieku. Jesteś zadowolona z mojej odpowiedzi?

- Szczerze mówiąc, nie. Ale tak czy owak innej odpowiedzi nie otrzymam, prawda?

- Prawda.

- No to teraz trzecie pytanie: gdzie jest biznesmen, który odwiózł Jeriomina z bankietu do domu w piątek 22 października?

- Niestety, pojechał do siebie, do Holandii. Ale w mieszkaniu Jeriominej chyba nie był. Przeczytałaś protokół oględzin mieszkania?

- Nie zdążyłam. Czytałam tylko zeznania świadków. A protokołu przesłuchania tego biznesmena tam nie ma. Co, nie przesłuchiowano go?

- Nie. Wyleciał, zanim znaleziono zwłoki i wdrożono śledztwo. Ale kiedy zaczęto szukać Jeriominej, był jeszcze w Moskwie i dyrektor generalny firmy dzwonił do niego i pytał o dziewczynę. Tak że wydarzenia 22 października znamy tylko z relacji szefa Jeriominej. No i w mieszkaniu odcisków palców tego biznesmena nie znaleziono.

- Jak to stwierdzono? Z czym porównano? - zdziwiła się Nastia.

- Z odciskami na dokumentach, które ten bogaty dżentelmen podpisywał.

- Dokumenty udostępnił ten sam dyrektor generalny?

- Tak jest.

- Mało przekonujące - z powątpiewaniem powiedziała Nastia.

- Mało - skwapliwie przytaknął Olszański. - Ale może pocieszy cię okoliczność, że ów pan o 22.30 tego wieczoru dzwonił z hotelu „Bałczug” do Paryża, o czym świadczy odpowiedni zapis u telefonistek. A Jeriomina, jeżeli pamiętasz, około jedenastej wieczorem była cała i zdrowa i gawędziła przez telefon z przyjaciółką. I w ogóle mało prawdopodobne, żeby ten Holender był zamieszany w zabójstwo, bo dziewczyna zginęła na pewno nie wcześniej niż 30 października. Oczywiście, trzeba by go przesłuchać, ale, jak sama rozumiesz, wymaga to sporo zachodu - trzeba działać przez MSZ, ambasadę i tak dalej, a przecież facet spokojnie może dokądś wyjechać w interesach. No cóż, nie będziemy się za nim uganiać po całym świecie.

- Konstantynie Michajłowiczu, mam weryfikować pańskie hipotezy robocze czy wymyślić coś sama?

- Mam na razie tylko dwie hipotezy. Pierwsza - to, że zabójstwo Jeriominej wiąże się z ciemnymi sprawkami w firmie. Druga - że dziewczyna rzeczywiście była chora psychicznie i padła ofiarą jakiegoś męta, na którego się przypadkowo nadziała. Pierwszej hipotezy jeszcze nie zaczęliśmy sprawdzać, co do drugiej zrobiono dość dużo, ale, niestety, bez żadnych rezultatów. Nie udało się ustalić, co się działo z denatką w ciągu tych kilku dni pomiędzy jej zniknięciem a znalezieniem ciała.

- Więc jak pan widzi moje zadanie? - spytała Nastia.

- Chcę, żebyś się zastanowiła, co jeszcze można zrobić w kwestii drugiej hipotezy. Chcę, żebyś pomyślała, gdzie i jak znaleźć ślad Jeriominej przy założeniu, że istotnie była w stanie ostrej psychozy. Pogadaj ze specjalistami, poradź się psychiatrów, dowiedz się, jak się zachowuje chory w takim stanie, zastanów się, dokąd i po co dziewczyna mogła się udać.

- A co z pierwszą hipotezą? Z machinacjami w firmie? Nie będziemy tego sprawdzać?

- Anastazjo, jesteś doprawdy rozbrajająca! - Olszański zamachał rękami. - Naprawdę potrafisz robić dwie rzeczy

naraz? Chcę, żebyś się zajęła hipotezą, która, sądząc z materiałów sprawy, wydaje się bardziej prawdopodobna. Jeżeli możesz przy tym pracować także nad drugą hipotezą, będę tylko zadowolony. Ale szczerze mówiąc, nie bardzo to sobie wyobrażam, dopóki jesteś sama. Czy Gordiejew zamierza przydzielić kogoś do tej sprawy, czy nie? Kto to widział, żeby zabójstwem zajmowała się jedna osoba?!

Nastia zastanawiała się, co odpowiedzieć śledczemu, żeby nie zawieść swego szefa Pączka. Nie może przecież poinformować Olszańskiego, że Gordiejew podejrzewa któregoś z wywiadowców o nieczystą grę, nie chce więc powierzyć sprawy nikomu oprócz niej, Nastii, ponieważ mogą tu wchodzić w grę interesy mafii. Ale Konstantin Michajłowicz na szczęście nie próbował zgłębiać zamiarów szefa wydziału do walki z ciężkimi przestępstwami. Wyraził tylko niezadowolenie i uznał temat za wyczerpany. Tym bardziej że zbliżała się godzina, na którą miał wyznaczoną konfrontację.

*

Uważnie patrząc pod nogi, żeby nie wpaść po kostki w kałużę, Nastia Kamińska wlokła się wolno od przystanku autobusowego do swego domu. Ostatnio była strasznie zmęczona; przyzwyczajona do siedzenia za biurkiem, z trudem przedstawiała się na normalną pracę wywiadowcy wydziału kryminalnego: musiała jeździć po całej Moskwie, wyszukiwać potrzebne adresy i ludzi, rozmawiać z nimi, i nie tylko rozmawiać, ale często namawiać, nie tylko prosić, ale wręcz błagać, żeby odpowiedzieli na pytania. Cóż, mało kto lubi gadać z milicją.

A rezultaty jej wysiłków były żałosne: Jeriomina po 22 października jakby się zapadła pod ziemię. Nie widział jej nikt ze znajomych czy kompanów od kieliszka. Krąg tych osób był niewielki, ale oprócz stałej grupy bliskich znajomych było też sporo takich, którzy uczestniczyli w alkoholowych imprezach nieregularnie, od przypadku do przypadku. Wszystkich ich odszukano i przesłuchano, i wszyscy jak

jeden mąż stanowczo utrzymywali, że po 22 października Wiki Jeriominej nie widzieli i nie rozmawiali z nią telefonicznie. Z wieloma bardzo trudno się było porozumieć: zamiast opowiadać o swej tragicznie zmarłej znajomej, usiłowali przekonać Nastię, że nadużywanie alkoholu to ich prywatna sprawa i milicja nie powinna w to ingerować.

Ze wszystkich tych rozmów jednak Nastia wyłowiła jedną ważną informację: im bardziej Wika była pijana, tym silniejszą miała potrzebę dzwonienia do ludzi. W czasie pijackich balang, trwających niekiedy po dwa, trzy dni, niemal co dwie godziny telefonowała do Borysa Kartaszowa, żeby zawiadomić go płaczącym się językiem, że z nią wszystko w porządku, że faceci to głupki i dranie, i nie mają prawa jej pouczać, jak ma żyć oraz ile i z kim pić. Oprócz Borysa dzwoniła do swojej przyjaciółki Loli, tej, z którą wychowywała się w domu sierot. Co więcej, udawało się jej kilka razy zadzwonić do pracy, żeby zapewnić, że jutro na pewno przyjdzie. Ponieważ i szef Jeriominej, i przyjaciółka Lola, i Borys Kartaszow zapewniali, że w czasie swego zaginięcia Wika do nich nie telefonowała, można wnosić, że była wtedy trzeźwa. Z jednym zastrzeżeniem: jeżeli wszyscy mówią prawdę. Jeżeli zaś wszyscy ci ludzie, tak różni, mieszkający w różnych miejscach i mający ze sobą niewiele wspólnego, solidarnie kłamią, to muszą mieć jakiś ważny powód. I Nastia zastanawiała się, co zrobić najpierw: szukać tego tajemniczego powodu, oczywiście jeśli takowy istnieje, czy mimo wszystko spróbować odnaleźć ślady Jeriominej.

Razem z Nastią nad sprawą Jeriominej pracował Andriej Czernyszew z obwodowego wydziału spraw wewnętrznych. Był to sympatyczny facet, niegłupi i obrotny, a co najważniejsze, miał własny samochód, dzięki czemu robił w ciągu dnia dwa razy więcej niż Nastia. Uwielbiał psy, a ze swoim owczarkiem nosił się nie tyle jak kura z jajkiem, ile jak z cudownym dzieckiem, zamartwiając się wiecznie, że niewłaściwe żywienie i pielęgnacja mogą się odbić na jego

zdolnościach umysłowych. Trzeba mu było jednak oddać sprawiedliwość: owczarek o rzadkim imieniu Kirył był idealnie wytresowany, bez szemrania wykonywał wszystkie polecenia i rozumiał swego pana nie tylko w pół słowa, ale w pół spojrzenia i pół westchnienia, z czego Andriej był niesłychanie dumny. Nastia dobrze wiedziała, że zalety Kiryła wcale nie są przesadzone. Półtora roku temu, podczas zatrzymania najemnego zabójcy Galla, właśnie ten pies, na dyskretny znak swego pana, umożliwił Nasti usunięcie się z niebezpiecznej strefy bez obudzenia podejrzeń bandyty. Kirył udawał, że chce się jej rzucić do gardła, Nastia, ze swej strony, udawała, że bardzo się tego boi, ale w rezultacie, z guzem na głowie, stłuczonym kolanem i złamanym obcasem, udało się jej szczęśliwie wycofać z linii ognia.

Zewnętrznie Nastia i Andriej Czernyszew byli do siebie podobni jak rodzeństwo: oboje wysocy, szczupli, jasnowłosi, o delikatnych rysach twarzy i szarych oczach. Ale podczas gdy Andriej był bardzo przystojny, o Nasti raczej nie dało się tego powiedzieć. Nie była ani piękna, ani brzydka, po prostu nijaka, niepozorna, nieefektowna, z trudną do zapamiętania twarzą i bladymi oczyma. Nie cierpiała nad tym, wiedząc, że w dobrze zrobionym makijażu i eleganckich ciuchach może się stać zniewalająco piękna, i czasem z tego korzystała. Na ogół jednak była nieciekawą szarą myszką i nie czuła żadnej potrzeby podobania się i budzenia zachwyty. Nie zależało jej na tym.

Oczywiście, w parze z Czernyszewem udawało im się robić dużo, ale pożytku z tego było, szczerze mówiąc... Sprawa utknęła w martwym punkcie. W wydziale do walki z przestępstwami gospodarczymi nie było żadnych danych o przekrętach w firmie, w której pracowała zamordowana, a kiedy Nastia wyraziła zdziwienie, że istnieją w dzisiejszych czasach firmy działające absolutnie uczciwie, usłyszała:

- Brudów wszędzie jest pełno, u nich z pewnością też. Ale nie w związku z forszą, sprawdziliśmy.

Okazało się, że Gordiejew już się do nich w tej sprawie zwracał. Mimo to jednak Nastia postanowiła osobiście odwiedzić firmę.

Wbrew jej oczekiwaniom, dyrektor generalny nie wykręcał się od rozmowy, przyjął Nastię natychmiast i wyraził gotowość odpowiedzenia raz jeszcze na wszystkie pytania.

- Dlaczego był pan tak wyrozumiały dla pijącej i niezdyplinowanej sekretarki? - spytała Nastia.

- Mówiłem to już pani koledze. - Dyrektor wzruszył ramionami. - Oczywiście, nie świadczy to o nas dobrze, ale nie zamierzam niczego zatajać, tym bardziej że Wice nic już nie może zaszkodzić. Obowiązki Wiki polegały na siedzeniu w sekretariacie, odbieraniu telefonów oraz na podawaniu kawy, herbaty i drinków, zwłaszcza kiedy odwiedzali mnie zagraniczni kontrahenci. Zrozumiała mnie pani?

- Nie - sucho odparła Nastia.

- Dziwne. No dobrze, powiem otwarcie: czasem, żeby skaptować kontrahenta, trzeba go podpoić i podsunąć mu ładną dziewczynę, żeby zmiękł. Cóż pani tak na mnie patrzy? Nigdy pani o tym nie słyszała? Proszę nie udawać, Anastazjo Pawłowno, nie urodziła się pani wczoraj. Wszyscy tak robią. I ja trzymałem tu Wikę właśnie po to. Była niesamowicie ładna, żaden mężczyzna się jej nie oparł, bez względu na to, jakie miał gusta. W razie potrzeby wysyłałem ją z takim człowiekiem na parę dni, Wika towarzyszyła zagranicznym gościom, jeśli chcieli pojechać do Pitra albo szlakiem Złotego Pierścienia*, albo jeszcze dokądś. Wika nigdy nie grymasiła, zawsze spełniała moje prośby, bez względu na to, jakiego mężczyzny dotyczyły. Ja w rewanżu wybaczałem jej pijaństwo i nieobecność w pracy. Zresztą mimo skłonności do alkoholu była bardzo obowiązkowa. Nie uwierzy pani, ale jeśli ją uprzedzałem, że na przykład w środę mam ważne negocjacje i ona będzie mi potrzebna, to bez względu na to,

* Złoty Pierścień (Zołotoje kolco) tworzą miejscowości z zabytkami architektury sakralnej i świeckiej: Włodzimierz, Suzdal, Bogolubowo i Pokrowa nad Nerłą (przyp. tłum.).

w jak głębokim była ciągu, bez względu na to, ile by wypila, w srode stawiała się do pracy w pełnym rynsztunku. Ani razu, zapewniam panią, ani razu mnie nie zawiodła. Zupełnie naturalne więc, że wiele jej wybaczałem.

- Innymi słowy, zatrudnił pan Jeriominą jako etatową prostytutkę - cicho podsumowała Nastia.

- Tak! - wybuchnął dyrektor. - Jeśli w ten sposób to pani ujmuje, to tak! Co w tym nagannego? Pracowała jako sekretarka, otrzymywała za to pensję, a spać z klientami lubiła, robiła to dobrowolnie i, co chciałbym podkreślić, bezpłatnie. Oficjalnie będzie to wyglądało tak, a nie inaczej! A wszystko, co pani powiedziałem, to...

- Czyli odwołuje pan swoje słowa? - uściśliła Nastia.

- Mój Boże, oczywiście, że nie. Powiedziałem pani prawdę, ale tylko po to, by pomóc w znalezieniu zabójcy Wiki, a nie po to, żeby prawila mi pani morały. I jeżeli zamierza pani grozić mi palcem i wyrzucać nieetyczne postępowanie, to wszystko odwołam, zwłaszcza że, jak widzę, niczego pani nie protokołuje. Dość długo już żyję na świecie, droga pani, i nie potrzebuję od nikogo nauk moralnych. Ale morderstwo to poważna sprawa i uważam, że nie wolno mi niczego ukrywać. Miałem nadzieję, że zostanę właściwie zrozumiany, ale widzę, że się pomyliłem. Wielka szkoda, Anastazjo Pawłowno.

- Nie, nie pomylił się pan. - Nastia usiłowała się życzliwie uśmiechnąć, ale niezbyt jej się to udało, uśmiech był niepewny, zawstydzony i pełen poczucia winy. - Jestem panu wdzięczna za szczerość. I jeszcze jedno: czy któryś z tych... klientów mógł w październiku przyjechać do Moskwy i próbować się spotkać z Jeriominą bez pańskiej wiedzy?

- Oczywiście. Ale natychmiast bym się o tym dowiedział. Wika pracuje... pracowała u mnie ponad dwa lata. W tym czasie korzystałem z jej usług wiele razy, ale partnerzy wcale nie zawsze byli nowi. Niektórym tak się podobała, że chcieli się z nią spotykać za każdą wizytą w Moskwie. Ten i ów rzeczywiście robił to za moimi plecami. Ale Wika nigdy

takich rzeczy przede mną nie ukrywała, przecież była to jej praca, a nie życie osobiste. Doskonale zdawała sobie sprawę, że jeśli zagraniczny kontrahent był w Moskwie i nie zadzwonił do mnie choćby po to, by po przyjacielsku pogawędzić, to świadczy to o jego stosunku i do mnie osobiście, i do firmy, i do naszych wspólnych interesów. Była świadoma, że o takich faktach powinienem wiedzieć, zresztą sam ją o tym niejednokrotnie uprzedzałem. Nie, nie sądzę, żeby nagle postanowiła coś przede mną zataić.

- Czyli że w październiku nic takiego się nie zdarzyło?

- Nie. Nawiasem mówiąc, ten holenderski biznesmen, który 22 października odwoził Wikę do domu, sypiał z nią już od dwóch lat, za każdym swoim przyjazdem.

- Potrzebna mi będzie lista wszystkich klientów Jeriominej - oznajmiła Nastia.

Listę ową, dość długą, natychmiast jej dostarczono i teraz Nastia czekała, aż w wydziale paszportowym i meldunkowym sprawdzą, czy któraś z wymienionych osób przebywała w Moskwie w okresie, gdy Jeriomina zaginęła. Nastia pokładała spore nadzieje w tej hipotezie, ale wiedziała, że trzeba się będzie uzbroić w cierpliwość.

Dotarwszy do domu, bezsilnie padła na kanapę i przeciągnęła się z ulgą. Była głodna, ale nie chciało jej się wstać i iść do kuchni. Mawiała często, że lenistwo przyszło na świat chyba razem z nią.

Leżała na kanapie do późnego wieczora, wreszcie jednak przemogła się i powlokła do kuchni. Zawartość lodówki nie pozostawiała wielkiego wyboru: jajko na miękko i sajra z puszki. Zatopiona w myślach Nastia nie czuła smaku jedzenia. Miała wielką ochotę na kawę, ale mężnie ją zwalczyła, wiedząc, że i tak trudno jej będzie zasnąć.

Dręczyła ją świadomość, że to, co robi, nie ma sensu, że śledztwo nie posuwa się naprzód. Miała uczucie, że wszystko robi źle, i bała się, że Pączek będzie rozczarowany. Po raz pierwszy Nastia pracuje samodzielnie, zamiast analizować

informacje zdobyte przez kolegów i udzielać im dobrych rad. Teraz sama zdobywa te informacje i nikt jej nie doradza.

Poza tym myślała ze współczuciem o szefie, Wiktorze Aleksiejewiczu Gordiejewie, który skądś się dowiedział, że wśród jego podwładnych jest wtyczka, może nawet niejedna, i teraz nikomu nie ufa, i musi udawać, że nic się nie stało, że wszystkich po dawnemu szanuje i lubi. Zupełnie jak w teatrze, pomyślała Nastia, przypominając sobie próbę u Griniewicza. Z tą tylko różnicą, że całe życie Pączka od teraz aż do wyjaśnienia sytuacji zamieniło się w spektakl, że przez cały dzień Gordiejew musi być aktorem na scenie. A prawdziwe życie to tylko to, co dzieje się wewnątrz, w jego duszy. I podczas gdy aktor po spektaklu może się rozcharakteryzować, iść do domu i żyć prawdziwym życiem, Pączek takiej możliwości nie ma, ponieważ nawet w domu stale pamięta o tym, że ktoś, kogo lubi i komu ufa, oszukuje go. Jak można żyć z takim brzemieniem?

Nasti jakoś nie przyszło do głowy, że z takim samym ciężarem na sercu będzie teraz żyć także ona...

*

Pułkownik Gordiejew zmienił się nie do poznania. Zawsze energiczny, ruchliwy, w chwilach intensywnych rozmyślań lubiący szybko spacerować po gabinecie, teraz jakby skamieniał: nieruchomo tkwił za biurkiem, obejmując głowę rękami. Zdawało się, że kipią w nim emocje i pułkownik obawia się, że wystarczy jeden nieostrożny ruch i wszystko to wyleje się na zewnątrz. Po raz pierwszy w czasie pracy na Pietrowce Nastia poczuła się w obecności szefa nieswojo.

- Co się dzieje w sprawie Jeriominej? - spytał Wiktor Aleksiejewicz. Głos miał równy, beznamiętny, bez śladu zainteresowania.

- Marnie, pułkowniku - ucziwie odparła Nastia. - Nic mi się nie udaje. Ślepy mur.

- No tak, no tak - zamruczał Pączek, patrząc gdzieś ponad głowę Kamińskiej.

Nastia miała wrażenie, że szef jej nie słucha, że myśli o czymś innym.

- Potrzebujesz pomocy? - zapytał nagle. - Czy na razie radzicie sobie we dwójkę?

- Pomoc będzie mi potrzebna, jeśli wymyślę nowe hipotezy. Do dziś sprawdzono...

- Daj spokój - wciąż tak samo obojętnie przerwał jej Gordiejew. - Wiem, że pracujesz uczciwie. Jak ci się układa z Olszańskim?

- Nie kłócimy się - krótko i sucho odrzekła Nastia, czując, jak narasta w niej poczucie krzywdy i niedowierzenie.

- No tak, no tak - znowu przytaknął pułkownik i Nastia wydało się, że zadaje jej pytania tylko po to, żeby stworzyć pozory kierowania śledztwem. Jej odpowiedzi go nie interesują, myśli o swoich sprawach. - Pamiętasz, że pierwszego grudnia ma do nas przyjść stażysta z Moskiewskiej Szkoły Milicji?

- Pamiętam.

- Jakoś na to nie wygląda. Zostało dziesięć dni, a ty jeszcze tam nie pojechałaś. Skąd taka zwłoka?

- Jeszcze dzisiaj zadzwonię i się umówię. Niech się pan nie niepokoi, Wiktorze Aleksiejewiczu.

Nastia starała się mówić równym głosem, chociaż w tej chwili najbardziej na świecie pragnęła uciec na leb, na szyję z gabinetu Gordiejewa, zamknąć się w swoim pokoju i wybuchnąć płaczem. Dlaczego on z nią rozmawia w taki sposób? W czym zawiniła? Przez wszystkie lata pracy nigdy jej nie zarzucił, że czegoś zapomniała zrobić. Zgoda, wielu rzeczy nie umiała, nie potrafiła się obchodzić z bronią palną, nie znała chwytów walki wręcz, nie umiała wypatrzeć śledzącego ją „ogona” i zgubić mu się, słabo biegła, ale pamięć miała fenomenalną. Anastazja Kamińska nigdy niczego nie zapominała.

- Nie odkładaj tego - ciągnął tymczasem Gordiejew.
- Wybierz stażystę dla siebie, a nie dla kogoś z kolegów. Wprowadzisz go w sprawę Jeriominej. Wygląda na to, że

w ciągu dziesięciu dni tak czy owak nie wykryjemy zabójcy. Więc będziesz pracować ze stażystą, a przy okazji go uczyć. Jeżeli dobrze wybierzesz – weźmiemy go na etat, brakuje nam ludzi. Teraz druga sprawa. Wiosną była u nas delegacja funkcjonariuszy włoskiej policji. Na grudzień zapowiedziana jest rewizyta. Ty też jedziesz.

– Dlaczego? – stropiła się Nastia. – Po co?

– Nieważne. Jedziesz – i już. Pomyśl sobie, że to rekompensata za zmarnowany urlop. To ja cię namawiałem na wyjazd do sanatorium, to ja osobiście załatwiłem ci skierowanie i czuję się po części odpowiedzialny za to, że wcale tam nie wypoczęłaś. Pojedziesz do Rzymu.

– A co z Jeriomią? – bezdźwięcznie spytała Nastia.

– Z Jeriomią? A co ma być z Jeriomią? Jeżeli nic nie wykryłaś, idąc gorącym tropem, to teraz tych pięć, sześć dni nie ma większego znaczenia. Do Rzymu lecisz dwunastego grudnia. Jeśli do tego czasu nie znajdziesz mordercy Jeriominiej, to nie znajdziesz go nigdy. To oczywiste. A poza tym, pod twoją nieobecność życie nie stanie w miejscu. Gdyby trzeba było coś zrobić – zrobi to Czernyszew. No i będzie jeszcze stażysta...

Dobór kadr Wiktor Aleksiejewicz traktował bardzo poważnie, nie lekceważąc nawet absolwentów wyższych uczelni MSW. Co roku przed rozpoczęciem okresu stażów zgodnie z nieoficjalną umową z szefem biura do spraw studentów Moskiewskiej Wyższej Szkoły Milicji posyłał tam Kamińską, aby wybrała studenta, który zostanie skierowany do nich na praktykę. Wykorzystywano przy tym wygodny pretekst, jakim był zwyczaj zapraszania pracowników milicji na pojedyncze seminaria, zwłaszcza z dziedziny kryminalistyki, spraw karnych oraz działań operacyjnych i śledczych. Nastia prowadziła seminaria lub zajęcia praktyczne w kilku grupach ze starszych lat, po czym Gordiejew dzwonił na uczelnię i podawał nazwisko słuchacza, którego chciał widzieć na stażu w swoim wydziale. Oczywiście, było to wbrew wszelkim zasadom, ale Pączkowi rzadko czegoś odmawiano. Był znaną

postać i miał sporo znajomości. Właśnie w taki sposób trafił do wydziału kryminalnego najmłodszy wywiadowca Misza Docenko, którego Nastia „wydłubała” aż z Omska, będąc tam w delegacji. Sam Gordiejew przed około dziesięć laty wypatrzył na moskiewskiej uczelni, sprawdził w czasie stażu i zatrudnił w wydziale Igora Lesnikowa, który teraz był jednym z najlepszych oficerów operacyjnych podległych Pączkowi.

Nastia zadzwoniła do dziekanatu uczelni, gdzie zaproponowano jej kilka tematów, przewidzianych na najbliższe seminary i ćwiczenia. Poprosiła, by przydzielono jej zajęcia na temat aspektów psychologicznych w zeznaniach naocznych świadków.

– Wspaniale – z zadowoleniem odpowiedziano w dziekanacie. – Wykładowca, który miał przeprowadzić te zajęcia, akurat jest chory, więc nie będzie z tym żadnych problemów, i nam to bardzo na rękę: nie musimy szukać zastępstwa.

Nastia wiedziała dokładnie, według jakich kryteriów wybierze stażystę. Postanowiła wykorzystać popularny test graficzny Ravina. Test składał się z sześćdziesięciu zadań, z których pięćdziesiąt dziewięć oparto na jednej i tej samej zasadzie i które różniły się tylko stopniem trudności: pierwszych sześć było prymitywnie prostych, ale poczynając od pięćdziesiątego czwartego znalezienie właściwej odpowiedzi wymagało sporego napięcia uwagi: trzeba było uwzględnić i obserwować kilka wskaźników jednocześnie. Tak więc pięćdziesiąt dziewięć zadań stanowiło sprawdzian, czy badany w ograniczonym czasie jest w stanie skoncentrować uwagę i szybko podjąć decyzję. Poza wszystkim innym test wykazywał, czy badany w tak zwanym niedoczasy potrafi się skupić i nie wpadać w panikę. Natomiast ostatnie zadanie, sześćdziesiąte, było bardzo podchwytliwe: na pozór zdumiewająco łatwe, opierało się na zupełnie innych zasadach. Jeżeli badanemu udawało się rozwiązać ostatnie zadanie, oznaczało to, że potrafi spojrzeć na nie z dystansem, nie daje się zasugerować i umie poszukać nowych rozwiązań, a nie

podąża we wskazanym kierunku, tępo próbując otworzyć zamek tym samym kluczem co przedtem tylko dlatego, że otwierał on z łatwością poprzednie zamki. Oczywiście, z punktu widzenia fizyka, mówiła sobie Nastia, pięćdziesiąt dziewięć eksperymentów to liczba wystarczająca, by przewidzieć wynik sześćdziesiątego. Za to z punktu widzenia matematyka wcale nie. Szukała więc wśród studentów czło-wieka o matematycznym sposobie myślenia.

Przewertowała stare notatki, zadzwoniła do dwóch znajomych z drogowki i wreszcie ułożyła zadanie do przedstawienia studentom na ćwiczeniach.

*

- Jak leci? - z uśmiechem zagadnął Olszański wchodzącą do gabinetu Nastię.

- Marnie, Konstantinie Michajłowiczu. Trzeba zacząć wszystko od początku.

Usiadła przy stole i nastawiła się na długą rozmowę. Śledczy jednak najwyraźniej nie podzielał jej zamiarów. Zerknął na zegarek i westchnął.

- Dlaczego trzeba zaczynać od początku? Czemu nie można iść dalej?

Nastia nie odpowiedziała na to pytanie, odpowiedź bowiem była trudna i dla niej samej, i dla Olszańskiego.

- Należy powtórnie przesłuchać Borysa Kartaszowa, przyjaciela Jeriominej.

Śledczy powoli uniośł głowę i utkwiał nieruchomy wzrok w Nastię. Za grubymi szklami jego oczy wydawały się małutkie, co czyniło twarz niesympatyczną, a spojrzenie - świdrującym.

- W jakim celu? Wykryłaś coś, co daje podstawy, by go podejrzewać?

Nastia rzeczywiście coś wykryła, ale, po pierwsze, nie dawało to podstaw do podejrzeń wobec Borysa Kartaszowa, po drugie, w ogóle nie była pewna, czy to, co wykryła, ma

jakiegokolwiek znaczenie. Tylko powtórne przesłuchanie mogło potwierdzić jej koncepcję.

- Bardzo pana proszę - powtórzyła z uporem. - Niech pan przesłucha Kartaszowa. Tu jest lista pytań, na które koniecznie muszę otrzymać odpowiedź.

Nastia wyjęła z torebki złożoną kartkę i wyciągnęła ją do Olszańskiego. Ten jednak nie wziął kartki, tylko wygrzebał z szuflady blankiet upoważnienia.

- Okej, przesłuchaj - powiedział cicho, szybko wypełniając rubryki.

- Myślałam, że pan to zrobi osobiście.

- Po co? Przecież to ty masz pytania do Kartaszowa, nie ja. A w każdym razie będziesz je mogła zadawać dopóty, dopóki nie otrzymasz zadowolającej odpowiedzi. Bo a nuż rezultaty mojego przesłuchania też ci się nie spodobają.

- No i czemu pan jest taki, Konstantynie Michajłowiczu?
- z wyrzutem spytała Nastia. - Ja przecież nie mówię, że poprzednie przesłuchanie było przeprowadzone źle. Po prostu wyszły na jaw nowe okoliczności...

- Jakie? - Olszański gwałtownie poderwał głowę.

Nastia milczała. Przywykła ufać swym nawet niejasnym wrażeniom, ale nigdy o nich nie mówiła, dopóki nie miała w ręku faktów. Zabójstwo Wiktorii Jeriominej bynajmniej nie było sprawą skomplikowaną, pełną sprzecznych informacji. Wszystko, czego udało się Nasti dowiedzieć, układało się w logiczny ciąg, ale nie rzucało żadnego światła na kwestię dotyczącą tego, gdzie była denatka od 22 października do 1 listopada, kiedy to najprawdopodobniej została uduszona. Jeśli dziewczyna rzeczywiście znajdowała się w stanie ostrej psychozy, to mogła pójść lub pojechać dokądkolwiek, zawrzeć znajomość z kimkolwiek, nie kierując się w swym postępowaniu żadną logiką. Kiedy człowiek jest przy zdrowych zmysłach, można go szukać u krewnych czy znajomych i problem polega tylko na ustaleniu jak najpełniejszego kręgu tych osób. A przewidywanie ewentualnych posunięć szaleńca to zajęcie bezproduktywne. Taki ktoś wychodzi

z domu bez dokumentów i idzie, gdzie oczy poniosą... Ciało okoliczni mieszkańcy znaleźli przypadkowo, sezon na grzyby i jagody dawno minął, w listopadzie ludzie nie mają czego szukać w lesie. Całe szczęście, że udało się zidentyfikować zwłoki, a i to tylko dzięki temu, że wpłynęło zawiadomienie o zaginięciu. Nie, zabójstwo Jeriominej nie było skomplikowane. Akta sprawy zawierały jednak zaskakująco mało informacji, a to o wiele gorsze.

Chociaż odpowiedź z biura paszportowego jeszcze nie nadeszła, Nastia w duchu pożegnała się z hipotezą, na którą tak liczyła jeszcze dwa dni temu. Owo „coś”, co wykryła, sugerowało, że Wiki nie zamordował jakiś zagraniczny amant, że chodzi tu o zupełnie co innego...

- No więc co to za nowe okoliczności? - cicho i bardzo szorstko zapytał Olszański, wręczając Nasti upoważnienie na przesłuchanie Kartaszowa. - Nie odpowiedziałas mi.

- A czy mogę odpowiedzieć po przesłuchaniu?

- Dobrze, niech będzie. Ale zapamiętaj sobie, Kamieńska, że nie wolno ci zatajać przede mną informacji, nawet jeśli uważasz, że nie jest ona istotna dla sprawy. Pracujemy razem po raz pierwszy, i dlatego ostrzegam cię uczciwie, że nie ze mną takie numery. Jeśli się o czymś takim dowiem, wyrzucę cię za kark jak parszywego kociaka. I nigdy nie będziesz dopuszczona do żadnej sprawy, znajdującej się w gestii stołecznej prokuratury. Już ja się o to zatroszczę. Nie myśl sobie, że ty jedna masz rozum i możesz decydować, co jest dla sprawy istotne, a co nie. I nie zapominaj, że to ja prowadzę sprawę, a nie ty, więc masz grać według moich zasad, a nie według tych, które są przyjęte na Pietrowce. Dotarło?

- Zrozumiałam, Konstantinie Michajłowiczu - wymamrotała Nastia i szybko opuściła gabinet śledczego. „Słusznie go nie lubię - pomyślała ze złością. - Co za okropny cham! Ależ go poniosło!”

Należało zadzwonić do Kartaszowa i umówić się na spotkanie. Nastia zeszła na pierwsze piętro, gdzie, jak wiedziała, mieścił się gabinet jej kolegi z roku, obecnie pierwszego

zastępcy prokuratora. Zadzwonili stamtąd, na uliczne automaty raczej nie można liczyć: albo nie działają, albo domagają się akurat takich monet, jakich ona nie będzie miała.

*

Nastia nigdy nie wyrabiała sobie opinii o ludziach od pierwszego spojrzenia. Ale Borys Kartaszow spodobał jej się od razu.

Kiedy otworzył drzwi, ogromny, prawie dwumetrowego wzrostu, w dżinsach, flanelowej koszuli w niebiesko-białą kratkę i ciemnoszarym swetrze z wielbłądziej wełny, usiłowała się pohamować, ale nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem. Łzy ciekły jej z oczu i Nastia, skręcając się ze śmiechu, zdążyła tylko pomyśleć, że, dzięki Bogu, nie wytuszczyła dzisiaj rżęs, bo inaczej całą twarz miałaby w czarnych smugach.

- Co się pani stało? - z niepokojem zapytał gospodarz.

Ale Nastia tylko machnęła ręką. Rozpięła kurtkę i podała ją Kartaszowowi, a wtedy on sam zaczął spazmatycznie pochlipywać ze śmiechu. Nastia miała na sobie dokładnie takie same dżinsy, identyczną niebiesko-białą koszulę, a jej sweter z wielbłądziej wełny był tylko odrobinę jaśniejszy niż sweter Borysa.

- Wyglądamy jak z tego samego inkubatora - powiedział Kartaszow, z trudem chwytając oddech. - Nie miałem pojęcia, że ubieram się jak funkcjonariusz organów ścigania. Proszę, niech pani wejdzie.

Rozglądając się po mieszkaniu malarza, Nastia zastanawiała się zdziwiona, dlaczego Gordiejew zaliczył go do „cyganerii”. Kochanek Wiki Jeriominej nie miał w sobie nic z bohemy - ani w wyglądzie, ani w stroju. Krótkie włosy, dość gęste, ale z początkami łysinki na czubku głowy, starannie utrzymane wąsy, duży, może trochę za długi nos, atletyczna budowa. Ani śladu nonszalancji w wyglądzie zewnętrznym czy w urządzeniu mieszkania. Przeciwnie - w pokoju stały wygodne i całkowicie tradycyjne meble.

Pod oknem duże biurko, na którym Nastia zobaczyła mnóstwo szkiców i wykończonych rysunków.

- Napije się pani kawy?

- Z przyjemnością - ucieszyła się Nastia, która nie potrafiła przeżyć dwóch godzin bez filiżanki kawy.

Ulokowali się w kuchni, czystej i przytulnej, gdzie dominowały beż i jasny brąz, co też się Nasti spodobało. Z zadowoleniem stwierdziła, że kawa jest smaczna i mocna, a gospodarz zrećnie radzi sobie z tygielkiem i, mimo potężnej postury, porusza się z lekkością i wdziękiem.

- Niech mi pan opowie o Wice - poprosiła.

- Co konkretnie? O tym, jak zachorowała?

- Nie, od samego początku. O tym, dlaczego znalazła się w domu dziecka.

Do domu dziecka trzyletnia Wika Jeriomina trafiła, kiedy jej matkę alkoholickę skierowano na przymusowy odwyk. I właśnie w zakładzie leczniczo-zapobiegawczym Jeriomina starsza zmarła, zatruta nie wiadomo jak zdobytym denaturatem. Matka dziewczynki nigdy nie była zamężna, żadnych krewnych nie miała, toteż Wika została w domu małego dziecka, a potem w sierocińcu już na zawsze. Dorosła, skończyła zasadniczą szkołę zawodową, zdobyła specjalność malarza-tylnkarza, podjęła pracę, dostała pokój w hotelu robotniczym. W dni robocze pracowała, a w wolnym czasie bez skrupułów wykorzystywała swą niezwykłą urodę. Trwało to dość długo, dopóki mniej więcej dwa i pół roku temu nie przeczytała w gazecie ogłoszenia, że jakaś firma poszukuje sekretarki do lat 23. Wika była wystarczająco cyniczna, by się zorientować, dlaczego w takim ogłoszeniu wymienia się wiek. Kupiła kilka gazet z reklamami, uważnie je przeczytała i wybrała ogłoszenia skierowane do młodych, ładnych dziewcząt. W ten sposób trafiła do swojej firmy.

- Kiedy pan ją poznał?

- Dawno, kiedy jeszcze była malarzem. Robiła remont w sąsiednim mieszkaniu. Początkowo w czasie przerwy w pracy wpadała do mnie na kawę. Potem zaproponowała,

że zrobi mi obiad, powiedziała, że dobrze gotuje i strasznie by chciała przygotować obiad dla mężczyzny, a nie dla koleżanek z hotelu robotniczego. Nie miałem nic przeciwko temu, Wika mi się podobała, robiła wrażenie dobrej i szczerzej. No i była śliczna jak marzenie.

- Panie Borysie... - Nastia zaczerwieniła się. - Nie miał pan nic przeciw rodzajowi pracy, jaką Wika wykonywała w firmie?

- Nie byłem zachwycony, ale nie z powodu zazdrości, tylko ze względów czysto ludzkich. Kiedy młoda kobieta zarabia na życie prostytutką nie dlatego, że jej się to szalenie podoba, ale dlatego że nic innego nie potrafi, a chce mieć dużo forsy - jest to ze wszech miar smutne. Nie wypadało mi jednak wypowiadać się głośno na ten temat.

- Ależ dlaczego?

- A cóż mogłem jej zaproponować w zamian? Przecież firma od razu załatwiła jej mieszkanie, kupiła meble. Dopóki Wika pracowała jako malarz, dawałem jej prezenty, rozpieszczałem. A w ostatnich dwóch latach wszystko się zmieniło, teraz to Wika dawała mi prezenty. Najpierw bardzo mnie to krępowało, potem wiele zrozumiałem...

- Co mianowicie? - nieufnie spytała Nastia.

- Dom dziecka. Niech się pani postawi na jej miejscu, wyobrazi to sobie, a wtedy pani zrozumie. Wszystko wspólne, wszystko takie samo jak u innych. Nie miała w dzieciństwie zbyt wiele tego, co mają dzieci, które wychowują się w pełnych rodzinach. I Wika nieustannie usiłowała to sobie zrekompensować, jakoś „uzupełnić”. Nie wspominała dobrze sierocińca, podtrzymywała znajomość tylko z Lolą Kolołową. Kontakty z koleżankami z hotelu robotniczego też zerwała. Chciała mieć przyjaciółki nie wspólne, ale własne, osobiste, swój prywatny krąg znajomych, których wybrałaby sama, a nie takich, których los przypadkowo zetknął ze sobą w jednej klasie, jednej grupie czy też jednym pokoju. Chciała sama decydować, co ma robić i z kim się spotykać. Oczywiście ten wybór pozostawiał wiele do życzenia, ale...

Własnej głowy przecież jej nie przyszyję. Dla Wiki liczyło się to, że może sobie dobierać znajomych według własnego wiedzim się, a tym, że są to niekiedy bardzo podejrzane typy, wcale się nie przejmowała. To samo dotyczyło obiadów i prezentów: chciała wybrać sobie obiekt i troszczyć się o niego, chciała mieć rodzinę. Wszystko to zważyło się na mnie i po jakimś czasie zaczęło mi się nawet podobać.

- Chciała wyjść za pana za mąż?

- Możliwe. Miała jednak tyle rozumu, żeby o tym nie mówić. Jak, prowadząc takie życie, mogła proponować siebie na żonę?

- Ale czy koniecznie musiała nadal prowadzić taki tryb życia?

- Mówiłem pani przecież, że Wika chciała mieć dużo pieniędzy. Proszę zrozumieć, nie była chciwa, wręcz przeciwnie, nie oszczędzała, ale szastała forszą na prawo i lewo. Niepohamowany pęd do bogactwa to również kompensacja biednego dzieciństwa w domu sierot. Tak więc musiała wybrać, na czym jej bardziej zależy - na zamążpójściu czy na pieniądzach.

- A pan, Borysie? Chciał się pan z nią ożenić?

- Cóż, byłem żonaty już dwa razy, płacę alimenty na córkę. Oczywiście, chciałem mieć normalną rodzinę, dzieci. Ale nie z Wiką. Za dużo piła, żeby urodzić zdrowe dziecko i być dobrą żoną i matką. Lubiała się pobawić w żonę tu, u mnie, ale najwyżej dwa, trzy dni w tygodniu; na więcej nie potrafiła się zdobyć. Albo spędzała czas z kolejnym klientem, albo ze swoimi przyjaciółmi, albo po prostu wylegiwała się na kanapie i marzyła. Może jeszcze kawy?

Borys wsypał kawę do młynka i podjął swą opowieść o bałaganiarskiej i źle się prowadzącej Wice Jeriominej.

Od wielu lat, chyba przez całe świadome życie, co jakiś czas śnił się jej koszmarny sen. Niekiedy często, niekiedy z kilkuletnimi przerwami, sen powracał, sprawiając, że Wika budziła się drżąca ze strachu. Śniła się jej okrwawiona ręka. Człowiek, którego we śnie nie było widać, ociera dłoń

o białą tynkowaną ścianę, pozostawiając na niej pięć czerwonych smug. Pojawia się druga ręka, której właściciela też nie widać, i rysuje czymś w poprzek pięciu smug klucz wiolinowy. Rozlega się wstrętny chichot, przechodzący stopniowo w ohydny, zły śmiech, i przy wtórze tego śmiechu Wika budziła się przerażona.

Pod koniec września Wika przyszła do Kartaszowa i już od progu oznajmiła:

– Ktoś podpatrzył mój sen i opowiada o nim w radiu.

Borysa w pierwszej chwili zatkało. „No, doigrała się dziewczyna – pomyślał. – Halucynacje alkoholowe”. Nie miał pojęcia, co się robi w takich wypadkach. Czy ma jej tłumaczyć, że to niemożliwe, że to objaw choroby umysłowej, czy potakiwać i zgadzać się, udając, że jej wierzy. Wybrał trzeci wariant, łączący, jak mu się zdawało, elementy terapii i pozory zaufania. Kiedy po tygodniu obsesja Wiki nie ustąpiła, zaproponował:

– Spróbujmy narysować twój sen. Jeżeli istnieje jakaś siła, która kradnie twoje sny, to powinno ją nastraszyć.

Wika, wbrew obawom, nie miała nic przeciwko temu, i Borys zrobił kilka szkiców, aż wreszcie udało mu się uchwycić obraz zbliżony do tego, który śnił się Wice. Ale to nie pomogło. Wika coraz bardziej pogrążała się w swojej obsesji, zaprzeczała jednak, jakoby była chora, i stanowczo odmawiała pójścia do psychiatry. Wtedy Kartaszow postanowił sam poradzić się specjalisty. Lekarz przyznał, że objawy wskazują na początki ostrej choroby psychicznej oraz że obsesja na punkcie oddziaływania na człowieka przez radio i przenikania do jego myśli jest charakterystycznym objawem zespołu Kandinskiego-Clerambaulta, ale dodał, że nie może niczego stwierdzić z całą pewnością. Zaocznie nie da się postawić diagnozy. Jeżeli dziewczyna nie zgadza się pójść do lekarza, wyjście jest tylko jedno: on, lekarz, może wpaść do Kartaszowa niby to z przyjacielską wizytą, kiedy będzie tam Wika, posiedzieć z nimi parę godzin przy herbatce i obserwować chorą i jej zachowanie. Umówili się, że jak tylko

Borys wróci z wyjazdu służbowego, koniecznie zorganizują takie spotkanie. No i to właściwie wszystko. Dwudziestego siódmego października, po powrocie z Orła, gdzie robił ilustracje do wydawanej tam książki, Borys dowiedział się, że Wika gdzieś zniknęła i już trzeci dzień nie przychodzi do pracy.

- Co było dalej, już pani wie. Zacząłem obijać progi na milicji. Wydzwaniałem do znajomych Wiki. Bez rezultatu.

- Czy nie próbował pan rozmawiać z innym lekarzem? Wystarczyła panu ta jedna opinia?

- Miałem trudności ze znalezieniem tego jednego. Nie mam znajomości wśród lekarzy, obracam się w innych kręgach.

- No to gdzie pan znalazł tego psychiatrę?

- Przez znajomego, a i to przypadkiem. Wymknęło mu się kiedyś, że ma sporo przyjaciół w sferach medycznych i że gdybym miał problemy zdrowotne, zawsze z przyjemnością mi pomoże. No i zwróciłem się właśnie do niego, a on skontaktował mnie z tym lekarzem.

Nastia usłyszała, jak w pokoju zadzwonił telefon, ale Borys siedział nadal jak gdyby nigdy nic.

- Nie odbierze pan? - zapytała zdziwiona.

- Mam automatyczną sekretarkę. W razie potrzeby później sam oddzwonię.

Wybierając się do Borysa Kartaszowa, Nastia chciała sprawdzić, czy choroba Jeriominej nie jest po prostu wymysłem malarza. Historia kryminalistyki, mówiła sobie, zna takie przypadki, kiedy człowiekowi wmawia się chorobę psychiczną, aby wykorzystać to dla jakichś własnych celów. Lekarz nie widział Wiki na oczy, praktycznie wszystko, co wiemy o jej chorobie, usłyszeliśmy od Kartaszowa. A jeżeli Kartaszow kłamie? Co prawda, są zeznania Olgi Kołobowej, koleżanki z domu dziecka, która twierdzi, że rozmawiała z Wiką o jej ukradzionym śnie i że Wika nie okazała zdziwienia i niczemu nie zaprzeczyła. Ale przecież Kołobowa może być w zмовie z Borysem i też kłamać. Po co? Cóż,

dla wielu powodów. Na przykład postanowili oboje pozbyć się Wiki i sklečili tę psychiatryczną historyjkę. Motyw? Na razie niejasny, ale przecież tej hipotezy jeszcze nie próbowano weryfikować. Może taki motyw istnieje, może jest gdzieś w zasięgu ręki, tylko po prostu nikt go nie szukał.

Aby zbadać tę hipotezę, należało wyłowić sprzeczności albo chociażby drobne niezgodności w zeznaniach Kartasowa, Loli Kołobowej i psychiatry Maslennikowa. Teraz doszedł jeszcze jeden potencjalny świadek – znajomy Borysa, który polecił mu lekarza. Przecież Borys musiał jakoś temu znajomemu wyjaśnić, po co mu psychiatra.

W tym miejscu pojawiła się nadzieja na jeszcze jedną hipotezę.

– Czy wyjeżdżając do Orła, włączył pan sekretarkę?

– Oczywiście. Jestem wolnym strzelcem, zleceniodawcy zwracają się bezpośrednio do mnie. Jeżeli nie odpowiem na telefony, mogę stracić dobre zamówienia.

– Znaczy, że po powrocie przesłuchał pan wszystkie telefony z tych dziesięciu dni?

– Naturalnie.

– I nie było tam żadnej wiadomości od Wiki?

– Nie. Jestem przekonany, że gdyby zamierzała wyjechać na dłużej, na pewno by mnie uprzedziła. Mówiłem pani przecież, że bardzo sobie ceniła to, że ktoś się o nią troszczy, że chociaż jednej osobie nie jest obojętne, gdzie ona się obraca i co się z nią dzieje. W dzieciństwie tego nie zaznała.

– Co się stało z tym nagraniem? Wykasował je pan?

Nastia była przekonana, że usłyszy odpowiedź twierdzącą, i pytała tylko dla porządku.

– Mam kasetę w szufladzie. Nie kasuję nagrań, bo a nuż coś się jeszcze przyda.

– Na przykład co?

– Choćby w zeszłym roku – zdarzyło się, że zadzwoniło do mnie jakieś drobne wydawnictwo z propozycją zrobienia ilustracji do zbioru anegdot. Zostawili adres i telefon. Nie było mnie w domu, jak dzwoniли. Nie oddzwoniłem, ilustro-

wanie dowcipów to nie mój profil, a poza tym miałem w tym czasie kilka zamówień i byłem zajęty. A wkrótce potem mój kumpel karykaturzysta zaczął narzekać na brak pieniędzy i przypomniałem sobie o tym telefonie. Znalazłem nagranie na kasecie, dałem mu namiary wydawnictwa i wszyscy byli zadowoleni.

- A więc ma pan kasetę z nagraniami z okresu pańskiego pobytu w Orle?

- Tak.

- Przesłuchajmy ją - zaproponowała Nastia.

Twarz Kartaszowa stwardniała. A może tylko jej się zdawało?

- Nie wierz mi pani? Słowo honoru, nie ma tam telefonu od Wiki. Przysięgam.

- Bardzo pana proszę - szorstko powiedziała Nastia. Gospodarz nagle przestał jej się podobać i przygotowała się do ataku. - Mimo wszystko chciałabym posłuchać.

Weszli do pokoju i Borys od razu wyjął z szuflady biurka kasetę. Włączył odtwarzanie i wręczył Nasti jeden z rysunków, leżących w teczce na biurku.

Nastia oglądała szkic, słuchając jednocześnie głosów z taśmy.

„Borka, nie zapomnij, drugiego listopada Łysakow kończy czterdziestkę. Jeżeli nie złożysz mu życzeń, śmiertelnie się obrazi...”

„Dzień dobry, Borysie Grigorjewiczu, tu Kniaziew. Bardzo proszę o telefon, jak pan wróci. Trzeba wprowadzić pewne zmiany do projektu okładki...”

„Kartaszow, ty sukinkocie! Gdzie ten koniak, który do mnie przegrałeś?...”

„Boria, nie gniewaj się, nie miałam racji, przyznaję. Wybacz mi...”

- Kto to był? - szybko spytała Nastia, naciskając klawisz „stop”.

- Lola Kołobowa - niechętnie odrzekł Kartaszow.

- Pokłócił się pan z nią?

- Jak by to pani powiedzieć... To stara historia, która niekiedy miewa nawroty. Z Wiką nie ma to nic wspólnego. Wiąże się z mężem Loli.

- Muszę to wiedzieć - powiedziała z naciskiem Nastia.

- No dobrze - Kartaszow westchnął. - Kiedy Lola poznała swego przyszłego męża, od razu jej powiedziałem, że ten typ nie przepuści żadnej dziewczynie. Po ślubie Lola zaczęła go przyłapywać na zdradach i bardzo cierpiała. A ja jak głupi, chociaż wiem, że nie wolno się wtrącać w cudze życie, w kółko pchałem się z radami, żeby go rzuciła. Uważam, że to bardzo nieciekawy facet, i żał mi było Lolki. Ale ona reagowała na moje rady wręcz chorobliwie, co wyrażało się w tym, że kiedy proponowałem, żeby rzuciła męża, usiłowała mi powiedzieć coś obraźliwego. Na przykład, że tak może mówić tylko impotent czy pedał, albo że ja jestem po prostu zazdrosny, bo jej mąż ma żonę i rodzinę, albo jeszcze coś równie głupiego. Wszystkie takie rozmowy kończyły się kłótnią, ale potem się oczywiście godziliśmy.

- I cóż takiego powiedziała panu ostatni raz? Za co przeproszała?

- Powiedziała, że jej mąż, chociaż babiarz, przynajmniej próbuje to przed nią ukryć, co jest o wiele przyzwoitsze niż zachowanie Wiki, która otwarcie szlaja się z każdym i nawet się tego nie wstydzi.

- Powiedziała tak o bliskiej przyjaciółce? - zdumiała się Nastia.

Kartaszow wzruszył ramionami.

- Kobiety... - odparł enigmatycznie. - Kto je zrozumie? Lepiej posłuchajmy dalej.

„Borys, tu Oleg. Chcemy całą bandą pojechać na sylwestra do Woronowa. Jeżeli chcesz się przyłączyć, daj znać do dziesiątego listopada, bo trzeba wcześniej zarezerwować miejsca...”

„Borka, zostawiłem u ciebie pudełko zapalek, na którym zapisałem bardzo ważny telefon. Jeżeli je znajdziesz, to nie wyrzucaj...”

„Boria, bardzo za tobą tęsknię. Całuję cię, Kochany...”

- A to kto? - Nastia zatrzymała taśmę.

- Znajoma. - Kartaszow popatrzył na nią wyzywająco, oczekując dalszych pytań, już z góry najeżony.

- Ale to na pewno nie Wika?

- Nie Wika. Jeżeli mi pani nie wierzy, puszczone inne kasety, na których jest jej głos.

- Wierzę panu - nieszczercze odrzekła Nastia, znowu włączając odtwarzanie.

Telefony z zamówieniami, od przyjaciół, od rodziców Borysa, od kobiet... I nagle dłuższa pauza.

- Co to? - Nastia gwałtownie wyłączyła magnetofon, z którego już dobiegały powitalne słowa kolejnego dzwoniącego.

- Nie wiem - bezradnie odpowiedział Kartaszow. - Zupełnie nie zwróciłem na to uwagi, odsłuchując taśmę. Wie pani, jak to jest - człowiek puszcza odtwarzanie, a sam w tym czasie rozpakowuje rzeczy albo robi kolację... Uwaga jest skierowana raz na to, czego się słucha, raz na to, co się robi.

- Kto dzwonił przed tą pauzą?

Nastia z przejęcia trzęsły się ręce. Czuli, że znalazła jakąś nitkę.

- Sołodownikow, mój kolega z roku.

- A po pauzie?

Borys puścił taśmę i wysłuchał kolejnego nagrania do końca.

- To Tatiana, moja siostra cioteczna.

- Proszę do nich zadzwonić i zapytać, kiedy do pana telefonowali, jakiego dnia i ewentualnie o której godzinie. Niech pan to zrobi zaraz.

Malarz pokornie usiadł przy telefonie, a Nastia znowu zaczęła oglądać rysunek przedstawiający ukradziony sen Wiki Jeriominej.

- Trudno teraz dokładnie ustalić. - Borys odwrócił się do niej. - Minął prawie miesiąc, ludzie pozapominali takie szczegóły. Sołodownikow mówi, że dzwonił jakoś pod koniec

tygodnia, dwudziestego pierwszego albo drugiego października, ale dobrze pamięta, że nie później, bo w piątek wieczorem dwudziestego drugiego wyjechał do Petersburga. Dzwonił do mnie właśnie w związku z tym wyjazdem, chciał numer telefonu naszego wspólnego znajomego z Pitra. A siostra zadzwoniła po zobaczeniu w telewizji mojej pierwszej żony: brała udział w sondażu ulicznym. Siostra w ogóle nie pamięta, jakiego dnia to było, ale mówi, że skoczyła do telefonu zaraz po programie; chciała mnie zawiadomić, że Katia znowu jest w Moskwie.

- A to dla pana takie ważne, czy pierwsza żona znowu jest w Moskwie?

- Widzi pani, Jekatierina ma trudny charakter. Jest próżna i kapryśna, uważa mnie za sprawcę wszystkich swoich nieszczęść, nie może mi wybaczyć rozwodu i bardzo lubi mi robić różne drobne świństwa. Ostatnio na przykład poświęciła mnóstwo czasu, całą dobę przesiedziała na schodach piętro wyżej nad moim mieszkaniem, wypatrując, kiedy wyjdzie ode mnie jakaś kobieta, a kiedy się wreszcie doczekała, podeszła i nagadała jej o mnie takich obrzydliwości, że włos się jeży.

- Ta kobieta, z którą rozmawiała pańska żona... Czy to była Wika?

- Nie - szybko odpowiedział Kartaszow. Chyba nawet za szybko, pomyślała Nastia.

- A kto?

- To nie była Wika - z naciskiem powiedział Borys, patrząc jej prosto w oczy. - A jej nazwisko nie powinno pani interesować.

- Czy pańska siostra pamięta, co to był za program, po którym pobiegła do telefonu?

- „Spacer po mieście” w programie czwartym.

Nastia zamyśliła się. Kasetę trzeba będzie zabrać, to jasne. Pauza mogła powstać z dwóch powodów: albo ktoś po odezwaniu się automatycznej sekretarki nie chciał nic mówić i po prostu milczał, albo nagranie zostało wykasowane.

W pierwszym wypadku nie wносиło to do sprawy nic nowego, za to w drugim dawało istotne podstawy, by podejrzewać Borysa Kartaszowa, że wykasował czyjś telefon, i niewykluczone, że był to telefon albo od samej Jeriominej, albo w jakiś sposób związany z jej śmiercią. Pączek uprzedzał, że zabójstwo Wiki może mieć związek z porachunkami mafijnymi, a mafia, jak wiadomo, ma najlepszych adwokatów, toteż zabranie kasety byłoby niewybaczalnym błędem: spróbuj, człowieku, później udowodnić, że nagrania nie starto w milicji, żeby skompromitować Kartaszowa. Trzeba wszystko załatwić jak najbardziej formalnie: wziąć nakaz i dokonać rekwizycji. Ale jak to zrobić? Jeżeli Borys jest niewinny, w co Nastia mocno powątpiewała, to można przyjechać jutro z samego rana z nakazem i świadkami. A jeżeli jest zamieszany w zabójstwo i pauza na taśmie ma z tym jakiś związek? Wówczas kto wie, jaką taśmę i w jakim stanie Nastia otrzyma nazajutrz. A zabrać ją trzeba koniecznie: jeżeli nagranie wykasowano, to na taśmie nie będzie rozmów w tle, które pozostają zawsze w przypadku, gdy telefonujący milczy. Określić przyczynę zagadkowej pauzy powinni eksperci. Więc co robić?

Spojrzała na zegarek: wpół do drugiej. Błysnęła jej szalona nadzieja na to, że Andriej Czernyszew mógł w środku dnia wpaść do domu, żeby nakarmić psa. Kto wie?

Nastia miała szczęście. Siedmioletni synek Andrieja rzetelnie zameldował, że tata obiecał przyjechać o pierwszej, żeby nakarmić Kirilla i wyprowadzić go na spacer. Pierwsza już dawno minęła, tak że tata będzie lada moment, bo gdyby miał wcale nie przyjechać, to już by zadzwonił i wydał odpowiednie rozkazy, z których torebek i puszek zrobić psu obiad. Nastia podyktowała malcowi telefon Kartaszowa i poprosiła, żeby tata zadzwonił, jak tylko przyjdzie.

- Niech mi pan opowie o tym znajomym, przez którego znalazł pan lekarza - poprosiła Nastia.

- Prawie go nie znam. Spotkaliśmy się w jakimś towarzystwie, w rozmowie powiedział, że zajmuje się dystrybucją książek, współpracuje z wydawnictwami, chociaż kiedyś

studiował medycynę, więc ma sporo znajomych wśród lekarzy, i gdybym miał kłopoty ze zdrowiem, to on mi zawsze pomoże. Zostawił mi swoją wizytówkę. I to cała znajomość.

- Potrzebne mi jego dane. Zachował pan tę wizytówkę?

Podczas gdy Borys przeglądał wizytówki wetknięte do notesu, Nastia znów popatrzyła na rysunek z pięcioma krwawoczerwonymi smugami.

- Borysie Grigorjewiczu, dlaczego ten klucz wiolinowy jest jasnozielony?

- Tak się śniło Wice. Sam byłem bardzo zdziwiony, ale ona uparcie twierdziła, że klucz jest bladezielony we wszystkich smach i nigdy nie bywa innego koloru. O, znalazłem! - Kartaszow wręczył Nasti wizytówkę niejakiego Walentina Pietrowicza Kosara z numerami telefonów do domu i do pracy.

ROZDZIAŁ 3

Nastia przyjrzała się uważnie swojemu audytorium. Piętnastu słuchaczy Moskiewskiej Szkoły Milicji; wszyscy w mundurach, krótko ostrzyżeni i gładko ogoleni, wydawali się jej zupełnie jednakowi. Poprzedniego dnia miała ćwiczenia z równoległą grupą i nie zauważyła nikogo, kto potrafiłby intelektualnie sprostać „zadaniu numer sześćdziesiąt”.

Pierwsze dziesięć minut poświęciła na krótkie podsumowanie materiału wykładu, potem narysowała na tablicy schemat kolizji drogowej.

- Proszę zanotować zeznania kierowcy... zeznania świadków A... B... C... D... A oto zadanie: uzasadnić przyczyny rozbieżności w zeznaniach świadków i wskazać, czyje zeznania są najbliższe temu, co się stało naprawdę. Czas - do przerwy. Po przerwie będziemy omawiać odpowiedzi.

Kiedy zadzwonił dzwonek, Nastia wyszła na klatkę schodową, gdzie wolno było palić. Zbliżyło się do niej kilku słuchaczy z grupy.

- Pracuje pani na Pietrowce? – zapytał miniaturowy chłopiec, o głowę niższy od niej.

- Na Pietrowce.

- A gdzie pani studiowała?

- Na uniwersytecie.

- A jaki ma pani stopień? – indagował dalej kurdupelek.

- Majora.

Zapadła kilkuminutowa cisza. Potem do rozmowy włączył się inny student, rosły, jasnowłosy, z ledwie widoczną brwią nad brwią.

- Czy pani specjalnie się tak ubiera, żeby się nikt nie domyślił?

Pytanie zbiło Nastię z tropu. Wiedziała, że na co dzień wygląda o wiele młodziej niż na swoje trzydzieści trzy lata. I chociaż dziś zamiast noszonych zazwyczaj džinsów włożyła elegancką prostą spódniczkę, a flanelową koszulę i ciepły pulower zastąpiła białym, wełnianym, obcisłym sweterkiem i skórzanym żakietem, i tak wyglądała jak dziewczynka: gładka twarz bez śladu makijażu, długie jasne włosy, związane w koński ogon. Nigdy nie próbowała dokładać jakichkolwiek starań, żeby wyglądać młodziej niż na swój wiek, po prostu ubierała się tak, żeby czuć się wygodnie. Malować jej się nie chciało, układanie zaś skomplikowanej fryzury z długich włosów uważała za śmieszne, skoro przez cały czas chodzi w džinsach i adidasach. A ubierać się inaczej, „poważniej”, Nastia stanowczo nie chciała. Po pierwsze, pod wieczór prawie zawsze puchły jej nogi, jako że prowadziła raczej siedzący tryb życia, a kawy piła dużo. Po drugie, miała złe krążenie, przez co ciągle marzła, a w džinsach, koszulach i swetrach było jej ciepło i wygodnie, co ceniła sobie najbardziej. Jednak tłumaczenie tego wszystkiego jasnowłosemu studentowi byłoby co najmniej śmieszne.

- A czego ten ktoś miałby się domyślać? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Tego... Tego, że... – Blondyn zająknął się i roześmiał.

- Ależ palnąłem gafę, idiota!

„Brawo – pomyślała z aprobatą Nastia. – Potrafi myśleć. Rzeczywiście, to śmieszne starać się wyglądać tak, żeby każdy od razu mógł rozpoznać twój zawód. A w naszej robocie w ogóle lepiej być kameleonem: dzisiaj masz trzydzieści pięć lat, a jutro – dwadzieścia siedem. Jeżeli w grupie nie znajdzie się nikt lepszy, wezmę go na staż. Przynajmniej potrafi w porę się połapać i przyznać do błędu, a to już połowa sukcesu”.

Wchodząc po przerwie do audytorium, Nastia poczuła, jak wali jej serce. Co roku, wybierając stażystę, denerwowała się, wciąż miała nadzieję znaleźć perłę w worku ziarna i bała się ją przeoczyć. Zerknęła na listę nazwisk i zaczęła odpytywać. Odpowiedzi były przeciętne, w miarę prawidłowe, ale najczęściej powierzchowne, niewychodzące poza to, o czym Nastia sama mówiła studentom na początku zajęć. Wyglądało na to, że nie słuchali wykładu i nie zaglądali do podręcznika. „Zupełnie jakby odwalali katorgę – pomyślała z irytacją Nastia, słuchając ospałych i nudnych odpowiedzi. – Jakby to była jakaś niewolnicza praca. Nikt ich przecież nie zmuszał, żeby tu studiowali, sami się zgłosili, uczestniczyli w konkursie świadectw, zaliczali testy sprawnościowe, zdawali egzaminy. A teraz robią wrażenie, jakby im wcale na tych studiach nie zależało. I takie «uzupełnienie» za pół roku przyjdzie do moskiewskiej milicji. I nie będzie z nich żadnego pożytku...”

– Mieszczerinow, teraz pan.

Do końca zajęć pozostało osiem minut. Nastia uznała, że tak czy owak nie znajdzie nikogo lepszego niż ów samokrytyczny blondyn z blizną. Posłucha jego odpowiedzi i jeżeli uda mu się sklecić sensownie choćby trzy słowa, Nastia go wybierze. Nie jest to Bóg wie co, ale można go będzie podszkolić i może czegoś nauczyć.

– Moim zdaniem, cechy psychologiczne nie mają tu nic do rzeczy – powiedział Mieszczerinow. – Zeznania różnią się, dlatego że świadkowie są przekupieni i mówią to, co im kazano.

Nastia zapłoneły policzki. Czyżby nareszcie? Czyżby znalazła jednak swoją perłę, znalazła człowieka, który potrafi wyjść poza określone ramy i poszukać rozwiązania na zupełnie innej płaszczyźnie? Wspaniale! Starając się nie okazać radosnego podniecenia, Nastia spytała:

- Jak pan sądzi, po co to zrobiono?

- Na przykład po to, żeby zagmatwać śledztwo. Kierowca mógł komuś przeszkadzać i trzeba było za wszelką cenę ograniczyć mu swobodę ruchów. W zadaniu ofiara wypadku zginęła, prawda? A więc podejrzany na pewno ma zakaz opuszczania miejsca zamieszkania. Przy tak sprzecznych zeznaniach świadków dochodzenie będzie się ciągnąć do końca świata, co daje pełną gwarancję, że winny w wypadku kierowca nie wyjedzie z miasta. A tym bardziej z kraju.

„Celująco! Nie tylko rozwiązałeś zadanie numer sześćdziesiąt. Masz wspaniałą, nieskrępowaną wyobraźnię, proszę, jaką nadzwyczajną historię zaimprovizowałeś. A na dodatek nie zapomniałeś na zajęciach z kryminalistyki, że istnieje jeszcze proces sądowy. Mądry chłopak!”

- Dziękuję, Mieszczerinow, niech pan siada. Koniec zajęć. Do dzwonka mamy dwie minuty, więc powiem panom na pożegnanie kilka słów. Poziom wiedzy w waszej grupie jest żaloszny. Do ukończenia studiów zostało wam sześć miesięcy, z których jeden poświęćcie na staż, a kolejny na pisanie pracy dyplomowej. Czasu jest tak niewiele, że chyba nie da się już niczego poprawić. Nie wątpię, że do egzaminów państwowych przygotowujecie się jak należy, wszystko wykujecie i szczęśliwie zdacie. Ale lenistwo umysłowe to straszna ułomność. A niestety, cierpi na nią większość grupy. Może są wśród was tacy, którzy wcale nie chcą zostać oficerami dochodzeniowymi, chodzi im tylko o dyplom magistra praw i gwiazdki lejtnanta. Do tych słuchaczy to, co mówię, się nie odnosi. A pozostali powinni zapamiętać, że przy takim jak teraz umysłowym lenistwie nic z tego nie będzie, nie rozwiążecie żadnej sprawy kryminalnej. Wszystkiego dobrego.

W korytarzu Nastia dopędziła zmierzającego do stołówki Mieszczerinowa i dotknęła jego łokcia.

- Proszę chwilę zaczekać, panie Mieszczerinow. Wie pan już, gdzie skierują pana na staż?

- Okręg północny, komisariat timiriaziewski. Czemu pani pyta?

- Czy nie chciałby pan odbyć stażu w Moskiewskim Wydziale Kryminalnym, w sekcji zabójstw?

Mieszczerinow stanął jak wryty i utkwiał w Nastii przymrużone oczy. Zastanawiał się w napięciu, rozważając wszystkie „za” i „przeciw”. Po chwili lekko kiwnął głową.

- Chciałbym, jeśli to możliwe. Ale uczelnia już wszystkim dała przydziały.

- Załatwię to. Potrzebna mi tylko pańska zgoda.

- Ja się zgadzam. Ale czemu pani na tym zależy?

Już drugi raz w ciągu dwóch godzin chłopak postawił Nastię w niezręcznej sytuacji. „Ciekawy z ciebie facet, przyjacielu - pomyślała. - Inny na twoim miejscu nie posiadałby się z radości i ani przez chwilę by się nie zastanawiał. A ty kalkulujesz, przewidujesz, wypytyujesz. Chyba wyrośnie z ciebie dobry wywiadowca. Dobrze, że cię znalazłam”.

- Jak wszędzie, brakuje nam ludzi do pracy - odpowiedziała. - Dlatego cenimy sobie każdą pomoc. A im stażysta bystrzejszy, tym lepiej, nawet jeżeli przychodzi tylko na miesiąc.

- Uważa mnie pani za bystrego? - uśmiechnął się młody człowiek. - Miło mi to słyszeć. Bo przed chwilą wszystkich nas zmieszała pani z błotem.

I majorowi Anastazji Kamieńskiej zrobiło się głupio...

*

- Nie obudziłem cię? - rozległ się w słuchawce głos Andrieja Czernyszewa.

Nastia zapaliła lampę i popatrzyła na zegarek - za pięć siódma. Budzik zadzwoni za pięć minut.

- Obudziłeś, podły sadysto - warknęła. - Odebrałeś mi pięć minut drogiego snu.

- Zupełnie nie rozumiem, jak ty żyjesz, Nastazjo. Ja wstałem już godzinę temu, byłem z Kirillem na spacerze, zrobiłem na ulicy przebieżkę, teraz jestem dziarski i rześki, a ty kimasz. Naprawdę jeszcze spałaś?

- Oczywiście, że tak.

- No to przepraszam. Obudziłaś się już na dobre? Dotrze do ciebie to, co powiem?

- Wal.

- A więc, po pierwsze. Program „Spacer po mieście” na kanale czwartym zaczął się dwudziestego drugiego października o dwudziestej pierwszej piętnaście, a skończył o dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć. Po drugie. Matka Wiktorii Jeriominej rzeczywiście była alkoholiczką, ale Wikę oddano do domu dziecka nie dlatego, że matka poszła na odwyk, tylko dlatego, że dostała wyrok z paragrafu sto trzy za morderstwo z premedytacją, choć sąd rzeczywiście skierował ją na przymusowy odwyk. Umarła istotnie z powodu zatrucia denaturatem, ale nie w zakładzie, tylko w kolonii karnej o zaostrzonym rygorze.

- Dlaczego o zaostrzonym rygorze? To nie był jej pierwszy wyrok?

- Drugi. Pierwszy raz siedziała za kradzież. Nawiasem mówiąc, Wika urodziła się podczas pierwszej odsiadki. W domu dziecka zmienił się prawie cały personel, ale jedna wychowawczyni pracuje tam od dawna. Twierdzi, że nie mówiono Wice prawdy, żeby nie spowodować urazu. Wystarczająco przykre było to, że matka cierpiała na alkoholizm. No i jej straszna śmierć. Teraz trzecia wiadomość, najgorsza. Jesteś gotowa?

- Gotowa.

- Walentin Pietrowicz Kosar, mający rozległe znajomości w świecie medycznym, zmarł.

- Kiedy?

- Trzymaj się, Nastazjo, wygląda na to, że wpakowaliśmy się w jakieś gówno. Kosara przejechał samochód. Trup na miejscu. Żadnych świadków, żadnych informacji – nic. Ciało leżało na drodze, znalazł je przejeżdżający obok kierowca. Sprawą zajmuje się okręg południowo-zachodni. Szczegółów na razie nie znam, chcę dzisiaj do nich wpaść.

- Zaczekaj, Andriusza, chwileczkę. – Nastia skrzywiła się boleśnie i przycisnęła skroń wolną ręką. – Mam w głowie kompletny zamęt, nic nie chwytam. Kiedy zginął Kosar?

- Dwudziestego piątego października.

- Muszę pomyśleć. Ty leć do południowo-zachodniego, a ja pójdę do pracy, zamelduję się u Pączka, a potem skoczę do Olszańskiego. Spotkajmy się koło drugiej, dobra?

- Gdzie?

- Jak rozumiem, chcesz w ciągu dnia nakarmić Kirilla.

- No... chciałbym, oczywiście.

- O wpół do drugiej podjedź po mnie do metra Czechowska, pojedziemy do ciebie, nakarmisz psa, a potem razem wyprowadzimy go na spacer. Wiesz, wydaje mi się, że oboje miotamy się jakoś bez sensu, pukamy do różnych drzwi, sami nie wiedząc, co chcemy znaleźć. Dostyc tego dobrego, najwyższy czas usiąść i pomyśleć. Zgadzasz się?

- Ty wiesz najlepiej, to o tobie mówią, że masz w głowie komputer, a nie o mnie. Ja do tej pory byłem przy tobie czymś w rodzaju chłopca na posyłki.

- Co ty gadasz? – przeraziła się Nastia. – Obrazileś się? Andriej, skarbie, jeżeli powiedziałam coś nie tak...

- Oj, przestań, Nastazjo, marnego słowa nie można ci powiedzieć. Twoje poczucie humoru długo sypia: ty już się obudziłaś, a ono jeszcze nie. Trzynasta trzydzieści, metro Czechowska. Cześć.

Nastia odłożyła telefon na miejsce i ospale, ledwie powłócząc nogami, pobrnęła do łazienki. Odkryte kilka dni temu „coś” rozrastało się i krzepło, a ona nie wiedziała, co z nim robić.

Z każdym dniem Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew robił się coraz bardziej ponury. Jego zazwyczaj okrągła twarz zmizerniała i poszarzała, ruchy stały się powolniejsze, głos – bardziej oschły. Coraz częściej, słuchając rozmówcy, powtarzał: „no tak, no tak”, co oznaczało, że znów nie słucha, co się do niego mówi, tylko myśli o swoich sprawach.

Prowadząc poranną odprawę, nie bardzo słyszał sam siebie; wpatrywał się nie wiadomo który już raz w twarze podwładnych i myślał: „Ten? A może ten? Czy tamten? Który to z nich?”

Miał wrażenie, że wie, który z oficerów operacyjnych ma powiązania ze światem przestępczym, ale nie chciało mu się w to wierzyć. A jednocześnie jeśli to nie on, nie ten, którego podejrzewa, znaczy, że kto inny, a ta myśl wcale nie przynosiła ulgi. Gordiejew wszystkich traktował jednakowo, więc ktokolwiek okazałby się zdrajcą, pułkownik odczułby to tak samo boleśnie. Był w rozterce: z jednej strony chciał się podzielić podejrzeniami z Kamińską, z drugiej zaś uważał, że nie powinien jej w to wciągać. To prawda, Nastazja jest inteligentna, spostrzegawcza, ma doskonałą pamięć i myśli logicznie, z jej pamięcią łatwiej byłoby rozwiązać zagadkę. Jednocześnie jednak Wiktor Aleksiejewicz wiedział, jak trudno będzie Nasti, jeśli on jej powie o swoich podejrzeniach, rozmawiać z tym człowiekiem, pracować z nim, omawiać nawet zwykłe, niesłużbowe sprawy. Poza tym Nastia może się zdradzić i obudzić czujność tego człowieka, który na razie czuje się całkowicie bezpieczny.

W czasie narady pułkownik nie pytał Nasti o dochodzenie w sprawie Jeriominej. Zrozumiała to właściwie i wróciwszy do swego gabinetu, cierpliwie czekała na telefon szefa. Nie minęło nawet dziesięć minut, kiedy Gordiejew zadzwonił na wewnętrzny numer i rzucił krótko: „Chodź”.

– Wiktorze Aleksiejewiczu, niech Misza Docenko pogada z tym facetem. – Nastia podała Gordiejewowi kartkę, na

której zapisała zamiary Sołodownikowa i pytania wymagające możliwie jak najdokładniejszych odpowiedzi. Misza Docenka tak zrećnie „rozpracowywał” pamięć świadków, pobudzając ciągi skojarzeniowe, że przy jego pomocy ludzie przypominali sobie z najdrobniejszymi szczegółami i dokładnością co do minuty nawet bardzo dawne wydarzenia. Nastia ogromnie liczyła na to, że Miszy uda się ustalić, kiedy Sołodownikow dzwonił do swego kolegi Borysa Kartaszowa. Pomogłoby to precyzyjniej określić, w jakim przedziale czasowym nagrano na sekretarkę wiadomość, która zniknęła z kasy.

- Dobrze. Co jeszcze?

- Trzeba powtórnie przesłuchać psychiatrę, u którego zasięgał porady Kartaszow. To powinnam zrobić sama.

- Dlaczego?

- Dlatego że rozmawiałam z Kartaszowem, dobrze pamiętam wszystkie szczegóły tego przesłuchania, i żeby wyłowić z zeznań sprzeczności, powinnam z lekarzem pomówić też ja. W każdym razie to, co mi powiedział Kartaszow, dość mocno odbiega od tego, co przeczytałam w protokole przesłuchania doktora Maslennikowa.

- Tak poważnie podejrzewasz tego malarza?

- Bardzo poważnie. Poza tym ta hipoteza w niczym nie ustępuje innym. Na weryfikację dwóch pierwszych hipotez poświęciliśmy trzy tygodnie. Zgadzam się, że były one najbardziej pracochłonne. Według informacji wydziału paszportowego, żadnego z zagranicznych klientów Jeriominej pod koniec października w Moskwie nie było, z wyjątkiem tego Holendra, ale Olszański wierzy w jego alibi. Nieracjonalnych zachowań w stanie ostrej psychozy tak czy owak nie sposób dokładnie sprawdzić. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Pozostaje nadzieja, że przypadkowo wypłynie jakaś informacja, ale na to można czekać do samej emerytury. Natomiast historia z chorobą Jeriominej wydaje mi się podejrzana. Pułkownikowi, mam podstawy, by sądzić, że dziewczyna

nie była chora i jej ukradziony sen należy włożyć między bajki.

- A motyw? Jeżeli Kartaszow jest w to zamieszany, to jaki miałby motyw?

- Nie wiem. I właśnie chcę się spróbować dowiedzieć. Ale ciężko nam tylko we dwójkę z Czernyszewem, i dlatego dochodzenie posuwa się tak wolno.

- Moim zdaniem w ogóle się nie posuwa - burknął Pączek. - W kółko próbujesz, sprawdzasz, trafiasz jak kulą w plot, a wyników tyle, co kot napłakał. Jesteś w kontakcie z dzielnicowym komisariatem Jeriominej?

- No... w ogóle to... - zająknęła się Nastia.

W komisariacie dzielnicowym poszukiwania zaginionej Jeriominej prowadził kapitan Morozow, więc to właśnie jemu polecono współpracować z grupą dochodzeniową, pracującą nad zabójstwem. Od pierwszego dnia Nastia usiłowała włączyć go do sprawy, ale Morozow wyjaśnił jej dość szorstko, że oprócz tego morderstwa, dokonanego, nawiasem mówiąc, nie wiadomo gdzie, może w innej dzielnicy, a nawet w innym obwodzie (a on, Morozow, może się zajmować tylko przestępstwami popełnionymi na jego terenie), ma na głowie jeszcze osiemnaście kradzieży, dwadzieścia ukradzionych aut, rabunki, rozboje i parę niewykrytych zabójstw, przy których Pietrowka mu nie pomaga, więc musi sobie radzić sam. Polecenia Nastii wykonywał niechętnie, niedbale, bez szczególnego pośpiechu, za to niezwykle sprytnie jej unikał i znaleźć go było bardzo, ale to bardzo trudno. Po jakichś trzech, czterech dniach Nastia w ogóle przestała go szukać i cała ogromna robota spadła na barki jej i Czernyszewa.

Ale Kamieńska nie lubiła się skarżyć i donosić, toteż na pytanie szefa tylko wymamrotała coś niewyraźnie.

- Jasne - krótko podsumował Pączek, który natychmiast wszystko zrozumiał. - Zadzwoń do komisariatu i dam im nauzkę. Włącz do roboty Morozowa, nie ma co się z nim cackać. Myślałby kto, że ma więcej pracy niż Czernyszew. Pojutrze przyjdzie stażysta, przydzielam ci go do pomocy.

I nie krępuj się, wykorzystaj naszych chłopców. Tylko załatwiał to przeze mnie. Rozumiesz? Koniecznie przeze mnie. Ja wydaję polecenie służbowe – i kropka. Nie muszę przy tym niczego nikomu tłumaczyć. A ty przecież nie mogłabyś im nie odpowiedzieć, gdyby zaczęli cię wypytywać, prawda?

– Prawda, nie mogłabym. Jeszcze by pomyśleli, że się uważam za Bóg wie kogo.

– No tak, no tak – w zamyśleniu powtórzył pułkownik i Nastia zorientowała się, że szef znów na kilka minut wyłączył się z rozmowy.

Wstała i starannie złożyła swoje notatki.

– Pójdę już, pułkowniku? – odezwała się półpytająco.

– No tak, no tak – znów powtórzył Gordiejew, nagle popatrzył na Nastię jakoś dziwnie i bardzo cicho powiedział:

– Uważaj na siebie, Stasienko. Zostałaś mi tylko ty jedna.

*

Śledczy Olszański w przeciwieństwie do Gordiejewa był przyjazny i cały w uśmiechach, ale większość propozycji Nasti kategoricznie odrzucał. I Nastia domyślała się dlaczego. Przez pierwszy tydzień po wdrożeniu śledztwa w sprawie zabójstwa Jeriominej z Olszańskim pracowali Misza Docenko i Wołodia Łarcew. Docenkę śledczy traktował obojętnie, ale Łarcew był jego ulubieńcem, całkiem zresztą zasłużenie. Poza tym Olszański przyjaźnił się z Łarcewem prywatnie, bywali u siebie, a ich żony bardzo się lubiły. Kiedy półtora roku temu przy porodzie zmarła żona Łarcewa i nowo narodzone dziecko, i Wołodia został sam z dziesięcioletnią córeczką, właśnie Olszańscy pomogli mu uporać się z rozpaczą i jakoś ułożyć dalsze życie.

Ale śmierć żony wpłynęła nie tylko na życie osobiste Łarcewa. Odbiła się także na jego pracy. Wołodia nie mógł już poświęcać się całkowicie robocie i harować od rana do nocy, jak to było dawniej. Przybyło mu obowiązków i trosk i jego wydajność bardzo spadła, ponieważ usiłował w ciągu dnia załatwiać jakieś sprawy domowe, robić zakupy, zaglą-

dać do domu, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku, wieczorem wychodzić z pracy wcześniej, żeby sprawdzić, jak córka odrobiła lekcje, i przygotować jej jedzenie na cały następny dzień. Koledzy współczuli mu w nieszczęściu i wiele wybaczała, tym bardziej że jego kłopoty odbijały się głównie na ilości wykonywanej pracy, a nie na jej jakości. Ale Konstantin Michajłowicz Olszański, biorąc sobie bardzo do serca wszystko, co dotyczyło przyjaciela, wręcz chorobliwie reagował na każdą aluzję do tego, że Wołodia niekiedy opuszcza się w pracy. Z czysto ludzkiego punktu widzenia można by to zrozumieć, ale Nastia było przykro, że stała się w tej sytuacji kozłem ofiarnym.

- Ekspertyza taśmy jeszcze nie jest gotowa - powitał ją Olszański, gdy tylko przekroczyła próg.

Nastia wzięła od Kartaszowa nie tylko ostatnią kasetę, ale i dwie wcześniejsze, na których były bez wątpienia nagrania samej Wiki, i poprosiła śledczego, by wypytał eksperta o naturę niezrozumiałej luki i o to, czy na ostatniej kasecie jest nagranie głosu identycznego z próbkami numer cztery, jedenaście i czterdzieści sześć, zaznaczonymi na pozostałych dwóch kasetach. Uznała, że jeżeli już nie ufać Kartaszowowi, to całkowicie. Czyli że trzeba sprawdzić wszystko od samego początku. Na wieść, że opinia ekspertów jeszcze nie jest gotowa, westchnęła rozczarowana.

- Szkoda. Tak na to liczyłam. Ale tak czy owak, Konstantinie Michajłowiczu, trzeba rozpracować Kartaszowa.

- Zgadza się - kiwnął głową Olszański. - Masz jakieś propozycje?

- Mam. Przede wszystkim trzeba dodatkowo przesłuchać przyjaciółkę Jeriominej Kołobową i tego psychiatrę. Potem jeszcze raz pogadać z rodzicami Kartaszowa i w ogóle ze wszystkimi, których przesłuchano w pierwszych dniach śledztwa.

O mało nie powiedziała: „Ze wszystkimi, których przesłuchiwał Łarcew”, ale w porę ugryzła się w język.

Śledczy się skrzywił.

- Co chcesz wyłowić z tych przesłuchań? I powiedz mi, z łaski swojej, jakież to pytania im zadasz poza tymi, które już zostały zadane?

„Pytania te same, tylko podejrzewam, że odpowiedzi będą inne” - odparła w duchu Nastia, ale znów się powstrzymała.

- Sprawa stoi w miejscu - ciągnął tymczasem Olszański - nic nowego nie wypływa, a ty ciągle usiłujesz stworzyć pozory pracy i robisz w kółko jedno i to samo po kilka razy. Gdzie ten twój słynny geniusz? Tyle się o tobie nasłuchałem pochwał, a jakoś nie dostrzegam twoich niezwykłych talentów. Zwykły szary wywiadowca jak tysiące innych. Więc bądź ze mną szczerą, Kamińska. Powiedziałem ci właśnie parę przykrych słów, ale opieram się na tym, co widzę. A jeżeli czegoś nie widzę, to twoja wina. Uprzedzałem cię przecież, żebyś nie próbowała ściemniać. Przyznaj się, co ty przede mną ukrywasz?

Cierpliwość Nasti się wyczerpała. „Nie - pomyślała - nie jestem Gretą Garbo. Nie nadaję się na aktorkę. Potrafię być tylko sobą, nie umiem udawać dłużej niż pięć minut”. Postanowiła powiedzieć prawdę.

- Konstantynie Michajłowiczu, protokoły pierwszych przesłuchań to ewidentny gniot. Wiem, jak przykro panu to słyszeć, wiem, że Łarcew jest pańskim bliskim przyjacielem. Proszę mi wierzyć, znam go od lat, bardzo szanuję, mam do niego zaufanie i po prostu go lubię. Ale w obecnej sytuacji nasze emocje utrudniają normalną pracę. Przyznajmy oboje, że Łarcew sknocił sprawę, chciał wszystko zrobić jak najszybciej i wyszła niedoróbka, którą trzeba po nim poprawiać. W rezultacie straciliśmy czas, który można było wykorzystać bardziej sensownie. Ale co teraz, mamy sobie rwać włosy z głowy? Co się stało, to się nie odstanie. Wołodia ma ciężkie życie, zastosujmy więc taryfę ulgową i spróbujmy naprawić to, co jeszcze jest do naprawienia. Chociaż pewnych rzeczy naprawić już się nie da. Proszę, niech pan nie przymyka na to oczu i nie udaje, że wszystko jest w po-

rządku. Sam pan przecież widzi, że protokoły przesłuchań są zrobione źle. Jest pan doświadczonym śledczym, pan po prostu nie może tego nie dostrzegać. Podać panu przykłady?

- Nie trzeba. Jestem doświadczonym śledczym i sam wszystko widzę. Ale proszę cię, Anastazio, niech to na razie zostanie między nami. Nie wiem, jak się zdobędę na to, żeby porozmawiać z Łarcewem, ale jeżeli już ktoś musi to zrobić, lepiej, żebym to był ja. Nie skarż się na niego Gordiejewowi, dobrze? Powinienem był sam wszystkich przesłuchać, kiedy zobaczyłem te cholerne protokoły, ale zaufałem Wołodźce, niech go wszyscy diabli. Niemożliwe, myślałem sobie, żeby przeoczył coś istotnego. Czy ty wiesz, ile spraw mam jednocześnie na warsztacie? Dwadzieścia siedem. Kiedy miałbym jeszcze prowadzić dodatkowe przesłuchania?!

Olszański nagle jakby się postarzał. Olśniewający uśmiech zgasł, w głosie pobrzmiwała rozpacz.

- Więc czemu się pan tak sprzeciwiał, jak tylko wspomniałam o powtórnych przesłuchaniach? - cicho zapytała Nastia. - Przecież wiedział pan, że mam rację. Chodziło panu o reputację Łarcewa?

- A co ty byś zrobiła na moim miejscu? Nie obchodziłyby cię reputacja przyjaciela? Tylko w filmach pracownicy wymiaru sprawiedliwości kierują się wyłącznie dobrem sprawy. A my jesteśmy żywymi ludźmi, wszyscy mamy swoje problemy, rodziny, choroby i po prostu zwykłe ludzkie uczucia. W tym także miłość. Sama wiesz, że znacznie łatwiej jest znajdować problemy niż je rozwiązywać. No dobra, Anastazio, pogódźmy się i do roboty. Kto ma przesłuchiwać?

- Czernyszew, Morozow i ja. I może jeszcze Misza Docenko.

- Morozow? Co to za jeden?

- Z komisariatu Pierowo, tam mieszkała Jeriomina. On też z nami pracuje.

- Morozow, Morozow... - zamruczał w zamyśleniu śledczy. - Gdzieś to nazwisko słyszałem... Zaraz, jak mu na imię? Przypadkiem nie Jewgienij?

- Tak, Jewgienij.
- Masywny, czerwona twarz, garbaty nos?
- Tak, to on. Zna go pan?
- Nie za bardzo, parę razy się z nim zetknąłem. Będiesz z nim miała krzyż pański.

- Dlaczego?

- Sporo pije i jest leniwy. A tupetu – za trzech: myślałby kto, że my tu wszyscy baki zbijamy, tylko on pracuje ponad siły. Ale to już taki wredny charakter. A w ogóle to jest wcale niegłupi i zna się na robocie, oczywiście jeżeli ją wykonuje. Bo na ogół stara się wymigać.

- Jakoś sobie poradzę, Konstantinie Michajłowiczu, nie mam innego wyjścia. Sam pan przecież powiedział, że to nie kino, ale samo życie. Skąd wziąć dwudziestu bystrych wywiadowców, którzy na rozkaz rozbiegną się we wszystkie strony, a pod wieczór stawią z całym kompletem potrzebnych informacji, żeby śledczy mógł w jeden dzień ułożyć sobie pełny obraz? Tak w życiu nie bywa, sam pan wie. Zbieramy informacje po kawałku, po okruszku, wolniutko, łyżeczkę od herbaty na godzinę. Ja przecież zajmuję się tylko tym morderstwem, więcej spraw nie mam. A inni, proszę, ile dochodzeń prowadzą jednocześnie. Więc nawet leniwy Morozow to jakaś pomoc. Niech mnie pan nie straszy.

- Tak mi się tylko powiedziało...

*

Po wyjściu z prokuratury Nastia skierowała się do metra. Odczuwała ulgę na myśl, że porozmawiała z Olszańskim o Łarcewie, co złagodziło narastające napięcie w jej stosunkach ze śledczym. Jednocześnie jednak było jej smutno. Chyba nie potrafiłaby teraz powiedzieć, kogo jej żal najbardziej – Łarcewa, Olszańskiego czy samej siebie.

*

W łagodnym półmroku baru gawędzili trzej mężczyźni. Jeden pił wodę mineralną, dwaj pozostali kawę z likierem.

Najmłodszy z nich był po czterdziestce, najstarszy miał sześćdziesiąt trzy lata, ludzie solidni, o nobliwym sposobie bycia. Niepalący – dbają o zdrowie. Rozmawiali przyciszonymi głosami.

– Co z naszą sprawą? – zapytał średni, w drogim angielskim garniturze, łysawy, mocno zbudowany mężczyzna o regularnych rysach.

– Mam wiarygodne informacje, że do sprawy włącza się nasz człowiek, więc proszę się nie denerwować, więcej potknięć nie będzie – odpowiedział niski starszy pan o pomarszczonej twarzy i świdrujących jasnych oczkach. Miał oczywiście imię i nazwisko, ale jego rozmówcy jakoś nigdy ich nie używali, woleli zwracać się do starego po prostu Arsen.

– Liczę na pana – odezwał się najmłodszy z rozmawiających, przysadzisty, brzydki mężczyzna z żelaznymi zębami w górnej szczęce. – Bardzo bym nie chciał tracić ludzi, wszyscy są prima sort.

– A ty jesteś dla nich kimś w rodzaju Ojca Chrzestnego? – uśmiechnął się Arsen. – Nie bój się, wujku Kola, twoim zuchom nic się nie stanie, o ile nie zrobią się zbyt bezczelni.

Mężczyzna o żelaznych zębach również się uśmiechnął. Uśmiech miał dziwny, nasuwający skojarzenie z transparentną szminką do ust: sztyfcik może być cytrynowożółty albo jadowicie zielony, a na ustach rozkwita nagle kolorem malinowym lub lilaróż. Zdawało się, że wujek Kola naciąga na twarz uśmiech człowieka silnego i pewnego siebie, a przez ten uśmiech prześwituje nieufność i niepokój.

– Mimo to chciałbym wiedzieć – z naleganiem w głosie wtrącił mężczyzna w angielskim garniturze – jak się przedstawia nasza sprawa?

– Praktycznie nie posuwa się naprzód, więc niech się pan przestanie tak trząść – wzgardliwie skrzywił się Arsen. – Dziewczyna drepcze w miejscu, krok do przodu i dwa w tył. Niech pracuje, niech tyra na swoją pensję, do prawdy nie zbliżyła się nawet na krok.

– A jeżeli się zbliży?

- Po to właśnie jest przy niej nasz człowiek, żeby to kontrolować. Jeśli tylko dziewczyna wetknie nos tam, gdzie nie trzeba, zostanie przytrzymana za rękę, a my się o tym natychmiast dowiemy. Minał już prawie miesiąc i nic straszego się nie stało. Musimy poczekać do trzeciego stycznia. Jeżeli do trzeciego stycznia nie wygrzebią nic, czego mogliby się uchwycić, sprawę wstrzymają i odłożą do sejfów, a wtedy już bankowo nikt w niej nie będzie grzebał. Są tak zawałeni robotą, że nie daj Boże. Nie mają kiedy zajmować się odłożonymi sprawami.

- Czy moi chłopcy będą do czegoś potrzebni? - spytał mężczyzna nazywany wujkiem Kola.

- Jak będą potrzebni, dam znać. A na razie niech siedzą cicho. I niech Bóg broni, żeby za coś podpadli milicji. Zwłaszcza ten... jak mu tam... co tak lubi szybką jazdę.

- Sławik?

- O, właśnie. Powiedz mu, żeby wstawił samochód do garażu i jeździł metrem. Tylko tego brakowało, żeby ten kretyń dał się złapać drogówce.

- Dopilnuję tego. - Wujek Kola kiwnął głową. - Coś jeszcze?

- To wszystko. Jak będę czegoś potrzebował, dam znać, nie ma obawy.

Arsen rzucił okiem na zegarek i wstał. Jego rozmówcy także się podnieśli. Wszyscy trzej bez pośpiechu ruszyli do wyjścia. Najmłodszy, wujek Kola, wsiadł do nierzucającego się w oczy żiguli, angielski garnitur odjechał beżową wołgą, a stary, chuderlawy Arsen, kuląc się z zimna w lekkim płaszczu, skierował się na przystanek trolejbusowy.